Nr. 5. Lwów, dnia 20. maja 1896. Rok XIX



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

NIEDŹWIEDŹ.

Napisał Władysław Spausta.

II.

Rzekome odmiany niedźwiedzi historycznych. — Przesądy. — Spoczynek zimowy. — Grzanie się i trwanie brzemienności.

W czasach historycznych mieszka jeden tylko gatunek niedźwiedzia na ziemiach europejskich, jest nim t. z. *Ursus arctus*; pojawiając się jednak w rozmaitej wielkości i barwie, dał powód do wiary w istnienie kilku stałych odmian. Rzecz ta nie została dotychczas naukowo rozstrzygniętą, a nazwy odmian rzekomych europejskich niedźwiedzi mają więcej praktyczne niż naukowe znaczenie. Nasza praktyka myśliwska odróżniała i odróżnia jeszcze zawsze kilka odmian, w jednych okolicach wymieniają dwie, w innych trzy, a nawet cztery odmiany, kto się zaś dobrze przypatrzył niedźwiedziom rozmaitej barwy, jakości sukienki, porównał wielkość, stosunek odnóży do ciała, strukturę czaszki i t. d, ten opierając się na tych cechach, skłonnym będzie do wytworzenia jeszcze bogatszego galimatyaszu odmian.

W dziele Bobiatyńskiego (Nauka łowiectwa II. str. 138) jest mowa tylko o dwóch odmianach: większej rudo-kasztanowatej i mniejszej o ubarwieniu ciemniejszem. W lasach gubernii Mińskiej odróżniają trzy odmiany: białoszyje, bardzo wielkie, czarno-rude, średnie i najmniejsze Murawiejniki, barwy żółto-rudej, ze wszystkich najzłośliwsze. Gdyby odmiany, o jakich mówi praktyka łowiecka, przywiązane były do pewnych miejscowości — gdyby w pewnych warunkach otoczenia znajdywały się jedne, w innych znów inne — to z biedą możnaby mówić o istnieniu stałych odmian; ale przebywanie równoczesne w jednem i tem samem siedlisku odmian wspomnianych obok siebie podkopać musi wiarę w stałość odmian naszych niedźwiedzi, wiarę, która bez głębszych powodów ogarnęła i karty nauki, tak, iż zoologowie mówią o odmianach stałych, nie zapuszczając się dalej w rozbiór, czy to są istotnie odmiany, czy tylko stadya odmienne jednej i tej samej odmiany czy gatunku.

Oprócz niedźwiedzia brunatnego jest tam cała świta: *Ursus normalis*, *grandis*, *collaris*, *formicarius*, ale w kłopocie byłby twórca tych nazw, gdyby mu kazano opisać cechy nazwanych zwierząt. To też często mieszają się nazwy i *qui pro quo* nie wyjaśnia bynajmniej ciemnej kwestyi odmian.

Różnice osobnicze występują już na płodach. Jeden z wielkich znawców niedźwiedzi w gubernii Mińskiej, nadleśniczy A. Krementz w Przygodzicach u ks. Radziwiłłów, w nadzwyczaj ciekawej monografii „Der Bär“ (Berlin 1889) podaje jako fakt osobnicze różnice na płodach. Płody mianowicie jednego miotu nie posiadają bez wyjątku białej ob-

ręczy około szyi; cecha ta, uważana jako charakterystyczne znamię odmiany, pojawia się czasem u płodów, a czasem występuje dopiero w 14 roku życia zwierzęcia. W obec tego biały ów obręcz za stałą cechę odmiany służyć nie może spada do rzędu przemijających znaków osobniczych, a jako różnica rzekomych odmian pozostaje wysokie czoło, długa morda i długie nogi niedźwiedzia brunatnego, z drugiej zaś strony krótkie i grube odnóża, szeroka głowa i płaskie czoło niedźwiedzia, którego u nas zwią mrówniakiem, murawiejnikiem, bartnikiem.

Barwa włosa przedstawia tak ogromną skalę, że chcąc się oprzeć li tylko na tej cesze, niezliczoną ilość odmian wytworzyć by trzeba. Od bladej, niemal żółto-płowej, przechodzi ona wszystkie odcienia brunacizny i wpada aż w kolor czarny — „czarny jak kruk“ — a powtarzam to określenie za korespondencyą umieszczoną w „Łowcu“ 1879 str. 126 o ubitym w górach samborskich w r. 1860 niedźwiedziu, pomimo, że nie zdarzyło mi się nigdy oglądać niedźwiedzia tej maści, a skóry czarne zdradzały zawsze, że ten melanizm nie pochodził z laboratoryów natury. Ciemnej maści niedźwiedzie odznaczają się zawsze, stosownie do pory i wieku, nalotem bądź rudawizny, bądź siwizny, a w szczególności barwy jaśniejsze występują więcej na grzbiecie, ciemnieją zaś ku odnóżom.

O odmianach niedźwiedzi litewskich mało co potrafią powiedzieć prawdziwi znawcy przedmiotu. Ś. p. A. Barthels, świadek mnóstwa łowów na niedźwiedzie litewskie, wątpi o istnieniu jakichkolwiek odmian. „Zabiłem niedźwiedzicę — powiada on (O niedźwiedziach na Litwie, „Łowiec“ 1878 str. 138) — której potomstwo w przeciągu roku wziąć było można za trzy zupełnie odmienne gatunki. Jeden samiec był duży, prawie czarny, bez żadnych białych znaków, drugi mniejszy, białoszyjek, z futrem koloru bronzowego, samica zaś była całkiem ruda.“ Ta sama różnica była i w charakterach.

W Karpatach zdarzają się niedźwiedzie srokate, w najgrymaśniejszy sposób poplamione, ale podobnie jak srokatej sarny lub zająca nikt za stałą odmianę lub rasę uważać nie będzie, tak samo i srokata suknia niedźwiedzi do czegoś podobnego skłaniać nie powinna. Są to albo egzemplarze nieporządnie się leniące, albo wyrodki osobnicze, bez żadnej dziedziczności, wywołane bodaj czy nie przemijającem jakiem cierpieniem skóry i jej wytworów.

Tak albinizm jakoteż melanizm są objawami, których właściwej przyczyny dostatecznie nie zbadano, że zaś zazwyczaj są tylko osobniczemi cechami, udowadnia ich sporadyczne występywanie bez wpływu na pokolenia, w których misterne wpływy dziedziczności w innym kierunku tak wybitną odgrywają rolę. W pierwotnej komórce życia organicznego spoczywają już zagadki przyszłości, wiele z nich badawcza praca ogołociła z tajemniczej szaty, ale ileż to jeszcze niezdobytych tajemnic natury każe nam z upokorzeniem wypisywać nasze: *Ignoramus?*

Wielu z naszych autorów i myśliwych, mówiąc o niedźwiedziach karpackich, milczeniem pomija kwestyę odmian, a jednak, kto się dobrze przypatrzył tym rozmaitym postaciom kudłatym naszych gór, ten łatwo uwierzy w istnienie rozmaitych odmian. Że zaś pozorne te odmiany nie spopularyzowały się tak dalece, jak to miało miejsce w dzielnicach posiadających starszą historyę łowiectwa, to już nie wina niedźwiedzi. I w Karpatach nie brak tych samych podstaw, na których się opierając, wytworzono kilka odmian. Sądzę, że różnice, jakie się dają dostrzedz w kształtach czaszki i w stosunku odnóży do reszty ciała, są jeszcze niedostateczną cechą do wytworzenia odmian, ale raczej wskazówką wieku i występują u niedźwiedzi w rozmaitych fazach tem rozmaiciej, o ile rozwój fizyczny zwierza jest bardzo powolnym i dopiero w szóstym roku dochodzi do kulminacyjnego kresu. A gdy zwierz żyje conajmniej lat 50, i zdolność jego rozpłodowa trwa do lat 30, nie dziw, że stadya rozwojowe i długie koleje życia wytwarzają częstokroć zmiany i do złudnych popychają wyobrażeń.

Długowieczny żywot niedźwiedzi sprawdzono po niezliczone razy na uwięzi, przez długie bowiem czasy istniał zwyczaj utrzymywania tych zwierząt w zwierzyńcach; jednak niebrak dowodów długiego ich życia i w praktyce łowieckiej. W r. 1854 ubito w Bieniawie w pow. Samborskim ogromnego niedźwiedzia, w którym chłop z Tarnawy rozpoznał dawnego znajomego. „Jegomość! ne maje win biłoho płatka na nosi?“ — zapytał chłop szczęśliwego myśliwego, ówczesnego dziedzica dóbr Bukowca i Bieniawy, dowiedziawszy się o ubiciu niedźwiedzia. Niedźwiedź miał w istocie białą skazę na nosie niby bliznę dawną po uderzeniu ostrem jakiemś narzędziem. Otrzymawszy potakującą odpowiedź, chłop z radością zawołał: „A to toj samyj medwid maje sorok lit, bo wże 35 lit mynuło, jak ja jeho toporom zadaw, koły byka w naszoi połonyni zabyw“.

Zazwyczaj u zwierząt młodych morda w porównaniu do reszty głowy jest więcej zaokrąglona, z wiekiem przedłuża się, czoło pukleje, a odnóża się przedłużają. Właśnie te różnice kształtów spotykamy u niedźwiedzi, a mianowicie typ pierwszy występuje u tak zwanych mniejszych odmian, typ drugi cechuje niedźwiedzie wielkie, czyli, jak sądzę, zwierzęta, które ukończyły rozwój fizyczny ciała. Nazbyt stare i wielkie niedźwiedzie odznaczają się częstokroć srebrnym nalotem na kudłach, ale objaw ten występuje wyjątkowo i u zwierząt młodych: zamiast rudawego zabarwienia występuje szczególniej na końcach włosów biały, zupełnie barwników pozbawiony odcień i nadaje futru szczególnie piękny wygląd. Odmiana ta powierzchowna, zależna jak się zdaje głównie od wieku, a przytem również od stosunków otoczenia, dała powód do wytworzenia odmiany i powstał tz. *Silberbär*. Jest to poprostu siwizna — nietylko plaga ludzkości — bardzo złudna wskazówka wieku, bo częstokroć powodowana bądź niedostatecznie rozpoznanem zaburzeniem w sferach nerwowych, bądź jakimś miejscowym stanem cierpienia.

Niezliczone spostrzeżenia na zwierzętach tak w wolnej naturze, jakoteż w zamknięciu, pouczyły, że niedźwiedzie młode różnią się od starych również i co do sposobu wyżywienia. Pierwsze pobierają znacznie więcej żywności ze świata roślinnego, a przytem dybią za owadami, wybierają poczwarki mrówek, kózek, czerw i miód pszczół, starsze zaś stają się z wiekiem coraz uporczywszymi drapieżnikami, postrachem trzód i grubszej zwierzyny. Niezliczone opowieści o drapieżności starych niedźwiedzi krążą w ustach ludu. W paśmie karpackiem strasznych scen świadkiem była „Szybeń“, lasy Kostrzycy i Maryszeczka pod Czarnohorą, „Ruski dił“, okolice Jawornika, a nawet Kniaziodworu pod Kołomyją. Postrachem połonin był i jest jeszcze stary niedźwiedź; młodsze zaś zwierzęta podawały jeszcze do niedawna bohaterskim Nemrodom sposobność do akrobatycznych zapasów. Wszystko to ustało z rozpowszechnieniem broni palnej, a nieustraszeni łowcy, którzy ongi „łowyły sia z medwedem“, przeszli u nas podobno na zawsze do historyi łowiectwa.

Nasz przyrodnik K. Pietruski, obserwując długi czas niedźwiedzie w swej menażeryi w Podhorodcach, rozróżnia

już nie odmiany, ale aż 4 rasy niedźwiedzi krajowych; jest tam czarno-brunatny, siwy, bartnik i bardzo rzadki żółtawo-gniady, zatem rzekome rasy, oparte li tylko na wielkości i barwie włosa. Nie mogę niestety pójść za zdaniem tyle zasłużonego badacza i uwierzyć w istnienie ras niedźwiedzi, przez rasę bowiem rozumiemy gromadę indywidyów o pewnych stałych cechach, zachowujących się w pokoleniach, ku temu zaś niezbędnem jest łączenie się li tylko pewnych indywidyów. Otóż to „*sine qua non*“ da się tylko w zamknięciu pomyśleć, a wobec przebywania rozmaitych t. zw. ras w jednych i tych samych siedliskach, staje się istnienie ras niedźwiedzi rzeczą niemożliwą. Kwestya zatem o rasach niedźwiedzi jest wprost bezprzedmiotową.

Walka o byt i o dobór płciowy dążą do ustalenia harmonii pomiędzy organizmem a otoczeniem; coraz to większe ustalenie form jest koniecznem tegoż następstwem i stąd pod jednostajnym wpływem tych czynników następuje zazwyczaj wielkie wyrównanie u gatunków dzikich, prędko zaś znikają odmiany zasadnicze, powstałe na gruncie słabszych praw fizyologicznych, które ostatecznie podporządkować się muszą głównemu kodeksowi natury. Jeżeli nastąpi zmiana głównych warunków kosmicznych, podtrzymujacych typy, to jest rzeczą naturalną, że wobec tego zmienić się muszą i organizmy — powstać mogą wtedy nowe odmiany, a nawet wyjątkowo i rasy naturalne.

Gdyby nie gwałtowne i tak grymaśne różnice w płodach jednego miotu, gdyby zwierzęta, różniące się maścią i wielkością nie przebywały obok siebie w jednych stosunkach otoczenia — możebym uwierzył w istnienie stałych odmian niedźwiedzi — ale niestety niepodobna ułatwić sobie rzeczy w ten sposób i dlatego myśl snuje więcej przekonaniu odpowiadającą kombinacyę: że obecny nasz niedźwiedź, to zapewne zlepek kilku odmian typowych z dawnych bardzo czasów, odmian, pochodzących z rozmaitych stosunków i podniebi. Po upływie tysiącleci ustalił się wreszcie do pewnego stopnia ten typ mięszany, lecz przebijają się w nim jeszcze reminiscencye rozmaitego pochodzenia i pojawiają się cechy pierwotnych przodków.

Ścisłe odosobnienie zwierząt dzikich w pewnych warunkach kosmicznych, wytwarza stosunkowo w krótkim czasie pewną typowość odrębną kształtów lub barwy, która jednak wnet się zatraca, gdy zwierzęta takie w innych znajdą się warunkach. Za uderzający przykład może tu służyć krótkonogi jeleń korsykański. Kiedyś, za czasów rzymskich cezarów, jeleń zwykły został na wyspę wprowadzony, gdyż według świadectwa historyków i przyrodników nigdy tam przedtem nie istniał. Odosobnienie wyspiarskie i nieuniknione w takim razie incesta, a wreszcie może i szczególne warunki kosmiczne wyspy, zmieniły wkrótce cechy pierwotne tego zwierzęcia tak, że Buffon jelenia korsykańskiego uznał za osobną odmianę, nazywając go jeleniem taksem. Ale jakież musiało być zdziwienie francuskiego przyrodnika, gdy jelenie korsykańskie, hodowane we Francyi pod jego okiem, powróciły już w pierwszem pokoleniu do typu jelenia zwykłego. (*Histoire naturelle generale*, T. III.). Rozpłynęła się wnet odmiana wytworzona w stosunkowo krótkim czasie w izolowanem siedlisku, nie mając głębszych podstaw istnienia i z pewnością nie powstałaby, gdyby nie odrębne warunki odosobnienia, które jednak w czasach historycznych nie dadzą się skonstatować w siedliskach naszych niedźwiedzi. Niema tu przeto racyonalnych podstaw do powstania odmian, bo nawet krainy naszych gór nie możemy uważać za jakieś izolowane siedlisko w obec powtarzających się peryodycznie wędrówek i włóczęgi tego zwierzostanu.

* * *

Już w poczęciu prześladował niedźwiedzia monstrualny przesąd; płód miał przychodzić na świat w formie bezkształtnej masy, bez ócz, bez włosa — i dopiero matka z tego kawałka mięsa miała językiem modelować kształty swego potomka. Mimo popularności, mimo, że wszystkie narody europejskie miały aż nadto sposobności obserwować niedźwiedzia w rozmaitych jego przejściach życiowych — mimo że wszechwładna Roma do świetnych igrzysk tysiące niedźwiedzi sprowadzała z całego ówczesnego *orbis terrarum* — przesądy ciążyły jeszcze w bardzo późnych czasach na niedźwiedzim rodzie, a w kosmografii Münstera w 1550 wydanej spotykamy (912 p.) przy opisie niedźwiedzi litewskich i ruskich obok innych bajek także i banalną opowieść o urabianiu płodu językiem: *Est autem foetus enixus candida quidam informisque caro, sine oculis, sine pilo, ungues tantum prominent. Et mater tam informes foetus labendo paulatim figurat**). Niedźwiedź przeto był jakiemś przypadkowo ukształtowanem zwierzęciem i zależał w całej swej figurze od artystycznych zdolności matczynego języka. Najniezawodniej rozmaitość kształtów w rodzie niedźwiedzim dała powód do tak awanturniczej kombinacyi w wiekach, gdzie nie spostrzeżenie, ale jakaś intuicya lub logika nieszczęsna chciały odcyfrowywać przyrodniczą prawdę.

Zimowy sen czyli spoczynek niedźwiedzi i niepobieranie pokarmów zrodził również rozpaczliwe przypuszczenia. Oto wierzono długo, a niestety są jeszcze tacy, którzy i dziś w to wierzą — że niedźwiedzie w ciągu zimy ssą swe łapy i w ten sposób się odżywiają. Ba, nawet autorowie dzieł myśliwskich jeszcze w niedawnych czasach byli tego mniemania. „Żywią się lizaniem tłuszczu ze swych łap — powiada autor „Myśliwstwa w Polsce i Litwie“ (Poznań 1865 str. 34) — lecz — (dodaje w klamrze — to mniemanie nie zostało jeszcze niczem potwierdzone“. I tutaj przyczyniły się zbieg okoliczności i logiczna myśl do podtrzymywania błędnego mniemania. Zwierz podczas spoczynku musiał się według wyobrażeń dawniejszych czemś odżywiać, a gdy dostrzeżono w tym czasie podeszwę nóg ogołoconą z naskórka a oślinioną nawet — no, to już nie było wątpliwości, że łapy dostarczały zwierzęciu elixyru życia podczas spoczynku zimowego. I kto wie, czy nie ten pozorny przykład skłonił sztukę kulinarną do naśladownictwa i nie wprowadził łap niedźwiedzich jako przysmaku urojonego na wielkopańskie stoły.

Konstanty Pietruski li tylko rasie (?) siwych niedźwiedzi przypisuje zwyczaj ssania łap, jednak prostując dawne wierzenia, powiada: „Ta obrzydliwa operacya odbywa się zwyczajnie po jedzeniu, ale nie wyłącznie w zimie, jak niektórzy mylnie utrzymują, lecz w każdej porze roku“. O ile dawne spostrzeżenia sięgają, wykonują niedźwiedzie pewien rodzaj oczyszczania podeszw; nie jest to w każdym razie

*) Münster powtarza tu prawie niewolniczo Pliniusza (lib. VIII. 14), który mówi o niedźwiedziach: *Eorum coitus hiemis initio: nec vulgari quadrupedum more, sed ambobus cubantibus complexisque. Dein secessus in specus separatim, in quibus pariunt trigesimo die, plurimum quinos. Hi sunt candida informisque caro, paulo muribus major, sine oculis, sine pilo: ungues tantem prominent; hanc lambendo paulatim figurant.*

ssanie, ale raczej oblizywanie, sprawiające ulgę bolem wskutek popękania naskórka i niezawodnie przyspieszające odnowienie się tegoż. Odrzućmy przeto niewłaściwą nazwę tej operacyi, a pozostanie tylko oblizywanie, wprawdzie niezbyt senzacyjne, ale prawdziwe, rodzaj samoleczenia, które praktykują nazbyt często i inne zwierzęta, nie rozbudzając podziwu, a które w tem większej mierze wykonywać jest zmuszony nasz stopochód.

Że zaś niedźwiedzie w porze spoczynku zimowego najwięcej się lizaniem łap zajmują, to jest rzeczą całkiem naturalną. W porze, gdy zwierz chodzi, gdy ciągła troska przegania go z miejsca na miejsce i naskórek się nie łuszczy, nie ma on ani czasu ani potrzeby myśleć o subtelności toalety, która wiele spokoju wymaga.

W dzisiejszym stanie wiedzy nie potrzebujemy już posługiwać się wiarą w tak oryginalny sposób odżywiania się, gdyż doświadczenie wykazało, że niedźwiedzie w porze spoczynku zimowego (który wcale nie może iść w porównanie z letargicznym stanem, w jaki zapada świstak) albo tylko wyjątkowo, albo wcale żadnych pokarmów nie pobierają. Nagromadzone ogromne zasoby tłuszczu, w chwili gdy się zwierz do spoczynku układa, wystarczają aż nadto do podtrzymywania funkcyi życiowych, gdy zużycie tworzywa do minimalnych spada granic. U wyrosłych niedźwiedzi ilość nagromadzonego w porze jesiennej tłuszczu dochodzi od 50 do 140 kg., stanowi zatem częstokroć blisko połowę całej wagi ciała. Taki balast czyni niedźwiedzia wcale niezgrabnym i ociężałym w ruchach, to też prawdziwymi są nasze przysłowia, powstałe na gruncie przyrodniczego stanu rzeczy. Wprawdzie Rusin patrząc na tłuściocha chętnie go porównywa z paciukiem, ale niemniej często powiada: „Spas sia jak medwid", a „niezgrabny jak niedźwiedź" odnosi się również do stanu, w jakim się zwierz w porze jesiennej przedstawia.

Gdyby spoczynek, w jaki zapadają niedźwiedzie zazwyczaj od połowy listopada do końca lutego, nie był tylko jakimś połowicznym snem, czy też drzemką, w której zwierz nie traci na długi czas świadomości, a nawet wyjątkowo dźwiga się, wychodzi i nieco pokarmów pobiera — i gdyby czynności organiczne większemu ulegały zamarciu — nagromadzone zapasy wystarczyćby mogły na znacznie dłuższy czas takiego letargu. Tymczasem w śnie zimowym niedźwiedzia topnieją prędko nagromadzone zasoby tłuszczu, tak, że zwierz już w marcu w nadzwyczaj wychudzonym stanie opuszcza swą ł o c h w ę (gawrę).

W każdym przeto razie spoczynek zimowy niedźwiedzi nie jest stanem jakiejś autonarkozy, właściwej świstakom i innym zwierzętom pod wpływem wytwarzających się w krwi kwasu węglowego i acetonu*), jak to w r. 1895 wykazał Raphael Dubois akademii nauk w Paryżu.

Nie zawsze o jednej porze zalega niedźwiedź w swej gawrze; zależy to szczególnie od temperatury i innych czynników klimatycznych, a naprowadzona pora spoczynku niedźwiedzi odnosi się do niedźwiedzi gubernii Mińskiej. Wspomniany już autor i niestrudzony badacz życia niedźwiedzi Krementz, podaje bardzo szczegółowo spostrzeżenia podczas przebywania niedźwiedzi w łochwie, i w samej rzeczy do tego rodzaju badań potrzeba mieć przed oczyma takie mateczniki zwierza, jakiemi są jeszcze do czasu knieje gubernii Mińskiej. Z 59 obserwowanych niedźwiedzi, 37 nie opuszczało wcale łochwy przez cały czas spoczynku, 11 wypędziła słota, 8 ruszono psami lub obławą, a tylko 3 ruszyły z nieznanej przyczyny. Podczas 11-stu lat trwania badań, gdzie autor miał do czynienia z kolosalnym materyałem, w dwu tylko wypadkach skonstatować było można pobieranie pokarmów, a niemniej wyjątkowem było wypróżnianie się zwierzęcia. Natomiast przy opuszczaniu łochwy wyrzuca zwierz twarde ciemnej barwy odchody. Podobne ekskrementa znaleziono w odbytnicy niedźwiedzi ubitych w łochwie, w kanale zaś pokarmowym flegmistą żółto-zieloną ciecz bez widocznych śladów świeżych pokarmów. Spostrzeżenia te odnoszą się do obu płci, nie wyłączając peryodu złog i karmienia płodu.

Niedźwiedzie utrzymywane w klatkach nie zapadają wprawdzie w sen zimowy, jednak również bardzo mało przyjmują w tym czasie pokarmu. Po opuszczeniu łochwy budzi się u tych zwierząt szczególniejszy apetyt do środków solwujących. Przezimowane pod śniegiem rozmaite leśne jagody, a szczególnie „gogodza" (żurawina *Vaccinium oxycoccos*) i pewne gatunki mchu są jego lekarstwem w tej chwili, poczem następują obfite wypróżnienia i zwierzę dopiero potem normalnie zaczyna się odżywiać.

Zjadanie pewnych mchów po opuszczeniu łochwy dało powód do fałszywego mniemania. Zwyczaj polowania na otoczone w łochwie niedźwiedzie był u nas praktykowany. I częstokroć zwierz osaczony został w chwili, gdy w zamiarze opuszczenia łochwy wydrapywał z pod śniegu mech. Cios śmiertelny dosięgał go czasem wśród tej roboty, a zwierz padając, trzymał jeszcze w łapach kawały mchu. Taki widok dał podstawę mniemaniu, że mech w łapach miał służyć do zatkania odebranej rany.

Przed kilkoma laty opowiadał mi jeden z naszych znanych myśliwych o niedźwiedziu, który po odebraniu postrzału w pierś, uchodząc zdążał do parowu i tam gliną i błotem jął zatykać broczącą ranę. Przykro mi, że z własnego doświadczenia nic w tym kierunku powiedzieć nie umiem.

Bardzo nieznaną kartą w życiu niedźwiedzi były do niedawna pora grzania się i czas brzemienności. Myśliwi rozmaite o tem bajki prawili, a z przyrodników każdy twierdził coś innego, wytwarzając istny las twierdzeń, jakby na chybił trafił. Skrupulatne w swych spostrzeżeniach zielone bractwo naszych zachodnich sąsiadów, nie mając dogodnej sposobności zawarcia bliższych stosunków z kudłaczem, obraca się również wśród błędnych podań.

Słynny Dr. Hartig w swym leksykonie z r. 1861 utrzymuje (str. 67.), że grzanie niedźwiedzi przypada w sierpniu a po 30 tygodniach następuje poród; nie przeszkadza mu to jednak do zmiany twierdzenia, i to dość rychłej, bo na stronicy odwrotnej (68) grzeją się niedźwiedzie we wrześniu lub w październiku. W ogólności cały traktat o niedźwiedziu w dziele tyle cenionego autora czyni wrażenie opowieści o żelaznym wilku, tem bardziej, że autor zdradza swą zupełną ignorancyę wypowiedzenia: *„In Lithauen, wo es viel Bähren gab, ist der letzte in den Puppaischen (?) Forsten vor 40 Jahren erlegt worden"*. Karol Russ utrzymuje w 1868. (*Natur u. Kulturbilder P. 80.*), że niedźwiedzie rodzą się w kwietniu lub maju, o trwaniu brzemienności nie wspomina, wie natomiast dokładnie, że niedźwiedzie w 3-cim roku kończą fizyczny rozwój ciała. Twierdzenia te niczem nie poparte, uzupełniają wprawdzie uroczą w maju sielankę — ale grzeszą nieprawdą, wobec doświadczeń bezpośrednich, o których autor już coś był wiedzieć powinien.

Kilkadziesiąt już bowiem lat przed wydaniem dzieła Russa, daleko na wschodzie, wśród gór Stryjskich, własnym

---

*) Aceton jest to połączenie C_3H_6O, znalezione również w moczu diabetyków.

sumptem czynił ścisłe badania nad tym przedmiotem K. z Siemuszowej Pietruski. Gdyby tego dokonał był jakiś Anglik, Francuz lub Niemiec, byłaby nauka zapisała złotemi czcionkami owe usiłowania w dociekaniu prawdy. Tymczasem badaczem był Polak, syn upadłego i pogrzebanego w oczach świata narodu, a rezultaty swych badań zapisał na bibulastych kartach niepokaźnej i obecnie po handlach antykwarskich walającej się książki. A przecież dopiero badania Pietruskiego rozświeciły nieco ciemną kartę z życia niedźwiedzi — sprostowały błędy najpoważniejszych dzieł, nie wyjmując i Lineusza, błędy powtarzane niezliczone razy również i w naszej literaturze n. p. w Dra A. Zawadzkiego „*Fauna galicyjska*“ i Gustawa Belkiego „*Mastologia*“.

W szczególności zasłużony nasz badacz opisuje według naocznych spostrzeżeń bardzo treściwie porę grzania się, sposób odbywania się samego aktu, peryod ciężarności a wreszcie i sam poród. W menażeryi Podhorodzkiej miało miejsce skuteczne połączenie pomiędzy małą bartniczką a niedźwiedziem brunatnym, zatem pomiędzy dwoma jak się wyraża ś. p. Pietruski odrębnemi rasami, „które swe cechy przez płodzenie stale utrzymują“. (Hist. nat. zwierząt ssących kraj. str. 20).

Nie zapuszczając się w szczegóły doświadczeń Pietruskiego podnoszę tu główne momenty. Pora grzania się niedźwiedzi karpackich przypada w maju. O tym czasie niedźwiedzie bardzo łagodne okazują usposobienie; brzemienność trwa około 36 tygodni, zatem porody przypadają od połowy lutego. Równocześnie ze spostrzeżeniami na zwierzętach utrzymywanych w klatce, zebrał nasz badacz znaczną ilość doświadczeń z wolnej natury, które bez wyjątku spostrzeżenia menażeryjne potwierdziły, mianowicie co się tyczy pory porodów.

Niezwykłe objawy podczas grzania się niedźwiedzi, nieznaczna ciężarność wskutek małoty płodu w stosunku do ciała matki, a wreszcie poród wśród zimy w chwili, kiedy matka prawie żadnych pokarmów nie przyjmuje, nie ułatwiały bynajmniej toku badań; to też cały ten zbieg okoliczności, towarzyszący najważniejszym funkcyom życia zwierzęcego, wymagał wiele precyzyi i żmudnej pracy badawczej, aby zwalczyć uprzedzenia wieków i wykorzenić nieszczęsną loikę uprzedzeń, utrzymujących się uporczywie jeszcze wtenczas, gdy oko badacza wtargnęło już od dawna w tajniki natury.

Przed Pietruskim wie już nasz autor „Nauki łowiectwa“ (J. Bobiatyński w 1823.) o 36-tygodniowej ciężarności niedźwiedzi, jednak czas grzania się (jako „niestateczny“ str. 140. tom II) oznacza w lipcu. „Gospodarstwo łowieckie“ Reumana powtarza podania Bobiatyńskiego w 1845, o wiele zaś późniejszy Kurowski w swem „Łowiectwie w Polsce i Litwie“ nie wiedząc nic o stanie ciężarności, każe się niedźwiedziowi rodzić w grudniu, wie natomiast dokładnie, że są „postaci niedźwiedziej“ nie zaś jak dawniej mniemano „w kształcie kłęba mięsa“, któremu dopiero matka lizaniem postać niedźwiedzia nadawać miała (str. 33 wyd. 1865.). Nad takiemi rzeczami zastanawiali się jeszcze autorowie siodmego dziesiątka naszego wieku!

Grzanie się niedźwiedzi, jak to już zauważał Pietruski, trwa bardzo długo. Po pierwszem zetknięciu się zwierząt w dniu 3. maja w menażeryi Podhorodzkiej powtarzały się zetknięcia 13 razy aż do 24 maja, a poród nastąpił 22 stycznia, zatem po 243 a względnie po 263 dniach czyli po $34^1/_2$—$37^1/_2$ tygodniach. W każdym przeto razie zachodzi tu znaczna różnica w trwaniu brzemienności w porównaniu z tem, co utrzymuje jeden z najnowszych badaczy, wzmiankowany Krementz, jedna z pierwszych powag, na którą powołują się ostatnich czasów poważni autorowie.

Brehm, badając w tym samym co Pietruski kierunku przyrodę niedźwiedzi, utrzymywanych w klatkach, podaje co do pory grzania się to samo co Pietruski, trwanie zaś ciężarności jest mu niedokładnie znane, i dopiero pod wpływem Kramentza podaje na 6 miesięcy „und wahrscheinlich noch etwas mehr“.

Krementz oznacza porę grzania się na czas od 15 czerwca do 15 sierpnia dla niedźwiedzi litewskich, porody zaś przypadać mają od 1. grudnia do 10 stycznia; trwanie zatem brzemienności wynosiłoby co najwięcej 205 dni, czyli około 29 tygodni.

Podania Pietruskiego i Krementza, dotyczące naszych karpackich i litewskich niedźwiedzi, różnią się zatem o wiele co do trwania brzemienności, jednak różnice te nie są prawdopodobnie faktyczne, a błędy powstały na gruncie nie tak łatwo zbadać się dającej pory grzania się i chwili skutecznego zetknięcia płci. Co najmniej zaś jest rzeczą przypuszczalną, aby niedźwiedzie karpackie i litewskie jako jeden gatunek mogły się tak bardzo różnić co do trwania brzemienności. Szczegóły podane przez Pietruskiego mimowoli działają przekonywająco, tem bardziej, że różniące się twierdzenia Krementza i oznaczenie pory grzania w połowie lata na gruncie widzianych w wolnej naturze objawów, bardzo łatwo złudzić może; fakt przebywania w tej porze niedźwiedzicy w towarzystwie kilku niedźwiedzi, podany przez Krementza, nie dowodzi jeszcze bynajmniej, że jest to chwila prawdziwego grzania, a wątpię, aby się udało Krementzowi być świadkiem samego aktu w lasach gubernii Mińskiej, a nawet gdyby i to miało miejsce, to zachodziłyby następnie wątpliwości co do tożsamości obserwowanego zwierza.

Cała chronologia porodów w dziele Krementza, zebraną w takich warunkach, że autor mógł być naocznym świadkiem, nie ulega najmniejszej wątpliwości; od 1. grudnia do 20. stycznia rodzą się niedźwiedzie w lasach litewskich.

Szczególniejszy objaw w życiu niedźwiedzi utrzymał długo i największych przyrodników w mniemaniu, że grzanie się w późnej jesieni ma miejsce. Tak sądził i Lineusz a za nim cała armia przyrodników, a powodem ku temu były zażarte bójki pomiędzy niedźwiedziami o tej porze, objaw, mogący całkiem słusznie sprowadzić domysł, że była to pora obudzonego popędu płciowego. I w samej rzeczy, o ile sięgają spostrzeżenia w tym kierunku, istnieje u niedźwiedzi podobnie jak i u innych zwierząt jakiś stan płciowego podrażnienia w porze jesiennej, a stan ten, nie znajdując zaspokojenia, wywołuje objawy prawdziwie niedźwiedziej brutalności. O wypadkach takich wspomina i Pietruski, podając dokładnie powód bójki; padła tam ofiarą niedźwiedzica, wywoławszy swą obojętnością gniew rozgrzanego galana. Krementz obserwował coś podobnego w kniejach litewskich, a krwawe epizody na gruncie nieodwzajemnionej miłości, są dość częste w menażeryach i ogrodach zoologicznych. W roku 1891 dnia 24 listopada w Antwerpii dostał się niedźwiedź do klatki swego sąsiada równoplemiennego i po walce zagryzł go na śmierć.

Wierzę w możliwość obudzania się u obu płci erotycznych afektów o tej porze — wierzę, iż żywe następstwa obopólnych dążeń sprowadzić musiały niemały chaos w pracach badawczych, ale podobnie jak u innych zwierząt należeć to

musi niezawodnie do wyjątków, a złowrogi ryk i całe zachowanie się niedźwiedzi w porze jesiennej, to nie apel do walki o dobór płciowy, ale raczej monstrualny objaw dysharmonii afektów. Wtedy jakiś szał ogarnia zwierza, pieszczota zmienia się w brutalne ukąszenie, uścisk staje się kurczem konwulsyjnym, a w miejsce ekstazy, pełny okrucieństwa zamach morderczy. Chorobliwy ten afekt wybucha raptem jak ogień z dawno zagasłego wulkanu, wywołuje dziwne objawy, które znane nam są pod nazwą „rui pozornej“, i rozwija taki zasób energii, siły i okrucieństwa, jakie tylko najsilniejsza sprężyna działania do czynu powołać jest wstanie.

MYŚLIWY STAREJ DATY.

Jednego, nie powiem pięknego poranku — bo był on dla mnie właśnie pochmurny — przy końcu miesiąca września roku 188., wydała mi żona wal ą bitwę przy udziale całego parku ciężkiej artyleryi słownej. Obrzuciła mię formalnym gradem bomb, granatów i szrapneli, wyrzucanych za pomocą języka.

Jak to zazwyczaj u kobiet bywa, że wydają mężom bitwy dla lada błahostki, tak też i moją żonę spowodowała do ataku odmowa dostarczenia pieniędzy na kupno... dzieł Szopenhauera.

— Ależ kobieto — wołałem — co ci po Szopenhauerze, na co ci jakieś tam mrzonki szwabskiego filozofa!

— No, to sprowadź mi pismo święte! — krzyknęła urażona niewiasta.

— Przeciw czytaniu pisma św. nie mam nic do zarzucenia — mówię pokornie — ale cóż ja na to poradzę, kiedy.. nie mam pieniędzy.

Ot, i znalazł się zaraz casus belli.

— Ty nie masz dla mnie nigdy pieniędzy! — wybuchnęła magnifika — a na strzelbę masz? na wista masz? na polowanie masz?

I jak z worka posypała się istna lawina mniej więcej podobnych pytań, które mię mocno drażniły. Będąc jednak zaatakowanym w chwili, kiedy miałem tak niekorzystną pozycyę strategiczną, że nie tylko o zwycięstwie, ale nawet o porządnem wytrzymaniu natarcia ani myśleć nie można było, uznałem za najrozsądniejsze nie przyjmować bitwy i zakomenderowałem sobie odwrót w porządku, wychodząc na dwór i wołając na furmana: — Zaprzęgaj!

Podczas gdy furman, zabrawszy obrok, wytaczał wózek z wozowni, przygotowałem potrzebne mi do obowiązkowej objazdki papiery i spakowawszy je do torby, byłem gotów do wsiadania. Zanim wszakże furman się wyguzdrał, (za co mu tylko jedyny ten raz wdzięczny byłem), stanął we drzwiach mojej kancelaryi jeden z towarzyszy myśliwych i zapytał z progu:

— Jedziesz pan na polowanie?

— O żadnem polowan u nic nie wiem — odparłem — nie mam od nikogo zaproszenia.

— Więc ja pana zapraszam w imieniu właściciela dóbr, pana Zatora, który mi wyraźnie pisze, abym pana zaprosił. Oto list, niech pan czyta.

— Jeżeli pan twierdzisz, że masz upoważnienie do zaproszenia mnie, to czytanie listu uważam za zbyteczne; przyjmuję zaproszenie i proszę tylko powiedzieć mi, kiedy się polowanie odbędzie? Teraz, jak pan widzisz, jestem na wyjezdnem i czekam tylko nim furman zaprzęgnie.

— Polowanie w kniei — rzekł mój gość — odbędzie się dopiero jutro, ale staremu musi się nudzić, więc prosi, abyśmy dziś przyjechali, to może weźmiemy na polach małe kociołki.

— Zgadzam się — rzekłem — choć wątpię, czy będę mógł wziąść udział w tych kociołkach, gdyż w najlepszym razie dopiero około 2 lub 3 godziny po południu stanę na miejscu.

— Zdaje się, że ja i reszta zaproszonych także nie wiele wcześniej naciągnąć będziemy mogli — zakończył mój gość i odszedł.

Zabrawszy tedy dodatkowo strzelbę i ładunki, wyjechałem czemprędzej z domu i załatwiwszy sprawy obowiązkowe, przybyłem do p. Zatora około godziny pół do trzeciej po południu.

Zaledwie stanąłem przed gankiem staropolskiego, acz niestety bardzo zaniedbanego, szlacheckiego dworku, wyszedł na moje przywitanie gospodarz, mężczyzna średniego wzrostu, chudy, ale silnie zbudowany o marsowym wyrazie twarzy, z okiem bystro patrzącem, którego blasku sześćdziesięciokilkuletni wiek przyćmić jeszcze nie zdołał. Zapadłe policzki i mocno zaciśnięte usta wskazywały na jakieś długie, raczej moralne, niż fizyczne cierpienia.

Tuż za gospodarzem wysunął się z twarzą uśmiechniętą i nosem nieco na fioletowo zabarwionym drugi mężczyzna, mniej więcej tego samego wzrostu i wieku co gospodarz, z tą tylko różnicą, że widocznie był silniejszy i trzymał się sztywniej. Był to sługa, prosty chłop, z podstrzyżonymi wąsami, których pojedyncze włosy sterczały niby igliwo u jeża i nadawały jego pospolitej zresztą fizyognomii jakiś wyraz srogości, podczas gdy ruchliwe i ciągle uśmiechnięte oczy zaprzeczały temu i naprowadzały jedynie na domysł, że właściciel tych ócz może być co najwięcej zgłupiafrant.

Po wymianie zwykłych formułek grzeczności wprowadził mię gospodarz do pokoju, który był raczej gabinetem zoologicznym. Widziałeś tu gęsto nagromadzone wilcze czaszki, jelenie wieńce, sarnie parostki i mnogą ilość dziczych szabli, użytych bądź na haki przy szaragach, bądź też na ozdoby przy fajczarni i t. p.

W pokoju zastałem już pana Bywalskiego, który mię w imieniu gospodarza na polowanie zaprosił i jeszcze drugiego, również znanego mi myśliwego, pana Srokę. Przywitawszy się z nimi, spojrzałem po pokoju i zobaczyłem, jak wzmiankowany już służący p. Zatora, wydobywszy z bezprzykładną poufałością moją Piperówkę z futerała, wetknął końce dwu palców w oba otwory do ładowania i wywijając lufami jak piórkiem, oglądał je z miną na poły ciekawą, na

poły impertynencką. W pierwszej chwili zdziwiło mię to niezmiernie, tak, że bez ceremonii zamierzyłem skarcić tę niewłaściwość, ale przez wzgląd na gospodarza powstrzymałem się. I dobrze zrobiłem, gdyż wkrótce się przekonałem, że pomiędzy panem a służącym panuje jakiś szczególny stosunek zażyłości, że jest on istnym famulusem, łączącym w jednej osobie strzelca, przyjaciela, lokaja, powiernika, furmana, a w razie potrzeby i kucharza. Pan i sługa zżyli się i tak przylgnęli do siebie, iż jeden bez drugiego kroku zrobić nie mógł, co tem dziwniej wyglądało, że stanowili obaj dość rażący kontrast. O ile bowiem chlebodawca mówił powolnie i nieco przez nos, przeplatając zdania mimowolnie z ust wychodzącem przysłowiem „jak się nazywa“, o tyle sługa „ziobrował“ słowa jak na pytlu i wyrzucał je z ust tak nagle iż mu czasem aż ślina z ust bryzgała.

Gdy gospodarz zoczył, co służący z moją strzelbą wyprawia, nietylko mu tego nie zganił, lecz pochwalając niejako zbytnią ciekawość służącego, zawołał:

— Michałku, pokaż no tu „jak się nazywa“ to pieścidełko! Pewnie nie podobne do mojej jak się nazywa „Lebedówki“. A wyjdź do kuchni i zarządź co potrzeba.

— Ale gdzież to ten „smyczek“ można przyrównać do „dziwerówki“ wielmożnego pana — rzekł Michał drwiąco, i podając lufki mej strzelby swemu chlebodawcy, dodał: — to takie ledziutkie jak „niepryczkiem“ (nieprzymierzając) pukawka z „bziny“.

Gospodarz wziął w ręce podane mu lufki, popatrzył uważnie najpierw na wylot, potem zajrzał do wnętrza lufek, wreszcie spojrzał jednem okiem wzdłuż szyny na muszkę i kładąc lufki na stole, wydał swój sąd ostatecznie następująco:

— Ty Michałku jesteś, jak się nazywa, osioł, bo nic o tem nie wiesz, że teraz wyrabiają bardzo lekkie strzelby, które, jak na dzisiejsze zepsute czasy są może nawet dobre, ale nie będą nigdy tak doskonałe jak nasze, jak się nazywa, kabzlówki.

— Wielmożny pan zawsze mówi, że ja osioł i byk — odpowiedział Michałek — a teraz wielmożny pan sam powtarza to, co ja ciągiem gadam, że nie ma na świecie lepszej strzelby jak nasze kabzlówki, bo mają tęgi „brand“.

Gospodarz, zauważywszy, żeśmy się wszyscy trzej mimowolnie uśmiechnęli, zmarszczył brwi i burknął:

— Mówiłem ci bałwanie już nieraz, abyś nie pytany nigdy nic nie mówił, bo zawsze łżesz bez granic. Kazałem ci pójść do kuchni, więc się wynieś.

Po wyjściu Michałka musiało się zrobić przykro gospodarzowi, że swego totumfackiego tak niemiłosiernie zgromił, bo widocznie posmutniał i zaczął go przed nami usprawiedliwiać.

— Muszę panom wyjaśnić — rzekł — dlaczego Michasiowi niejedno przebaczam i znoszę jego głupotę. Oto przekonałem się w ciągu długich lat, że jest w gruncie dobry i do mnie bardzo przywiązany. Jest on na pół Mazur, na pół Rusin, ale łże jak Gaskończyk. Kardynalną wadą jego jest nałogowe kłamstwo. Mówią ludzie, że już po pierwszem kwileniu dziecka, gdy na świat przyjdzie, można jak się nazywa, poznać płeć, do jakiej należy. Chłopczyk płacze o-a, o-a, dziewczynka zaś o-e, o-e... Ludzie pobożni wykombinowali stąd, że w ten sposób niemowlęta żalą się na pierwszych rodziców, Adama i Ewę. Otóż ja jestem, jak się nazywa, pewny, że ten hultaj Michałek, przyszedłszy na świat, już przy pierwszem ust otwarciu krzyczał o-e, o-e — żeby tylko zełgać. Lecz mimo tej wady lubię go bardzo i mam dla niego słabość, bo dobry myśliwy i bez polowania, jak ryba bez wody, żyć nie byłby w stanie. Z nim przed półwiekiem stawiałem pierwsze kroki w myśliwstwie i daj Boże, ażebym z nim skończył, gdyż do dzisiejszych, jak się nazywa, melioracyj łowieckich nigdy już nie przywyknę.

W tej chwili Michał, którego zapewne więcej obchodziło to, o czem mówić będziemy, niż wszelakie sprawy kuchenne, wszedł do pokoju i zaraportował:

— Proszę wielmożnego pana wysłałem do miasta po mięso Mateusza na „Hazardzie“, bo to koń „chodnisty“. Gdyby gości nie było, byłbym powiedział klucznicy, aby sama „dralowała“, jak „niepryczkiem“ biega z łoszęciem „Kokieta“ na paszę.

Raport ten nie bardzo musiał zadowolić gospodarza, gdyż zbywając służącego krótko: — Dureń jesteś! — ciągnął dalej swe uwagi:

— Ongi, kiedy to rozpoczynałem zawód łowiecki, musiał każdy, kto pragnął, aby go w poczet myśliwych zaliczono, mieć następujące zalety: bogobojność, dobry wzrok, dobry słuch, rącze nogi, zdrowe płuca, silny głos, wytrwałość, czujność, niemarkotność, trzeźwość, rozważność, zdrowe zęby, ufność w sobie, przywiązanie do psów, czystość w utrzymaniu strzelby, zdolność dochowania tajemnicy i wolność od zazdrości.

Skończywszy tę długą litanię zalet, któremi dawniejsi myśliwi odznaczać się mieli, spojrzał gospodarz tryumfująco po nas trzech i zapytał:

— A któryż z was dzisiejszych, jak się nazywa, Nemrodów może się poszczycić wyliczonemi przezemnie zaletami?

— A ha? — wtrącił krótkie pytanie i Michaś, który podczas wyliczania dawniejszych myśliwskich własności milcząco potakiwał, kiwając wciąż głową, jak koń co muchy odgania.

Spostrzegłszy złośliwie uśmiechniętą twarz Michała, rozpoczął pan Bywalski pierwszy dysputę następującemi słowy:

— Chociaż tegocześni myśliwi nie posiadają wszystkich przez pana dobrodzieja wymienionych zalet, to jeszcze nie stanowi dowodu, ażeby mieli być gorszymi; owszem sądzę, że są bez porównania lepsi, bo potrafili się otrząść z dawnych zabobonów, z przyprawiania cudownych „witerunków“, nadawania „brandu“ strzelbom i czego tam jeszcze nie było, a zaczęli natomiast baczniej podpatrywać zwyczaje zwierzyny i zbadali niejedną tajemnicę przyrody, o której dawniejszym myśliwym ani się śniło.

— Toć i my badali i podpatrywali — przerwał pan Zator — jako to np., że dziki niżej trzech lat wyciskają tropy o nierównych, jak się nazywa, racicach w ten sposób, że jedna racica jest dłuższa, a druga krótsza.

— Proszę wielmożnego pana — zaczął pytlować Michałek — przysięgam Bogu, że ja poznam z moczu na tropie, czy to był „jedyniec“, czy też maciora.

— Bałwan jesteś i kwita! — zawołał z gniewem pan Zator, zapomniawszy nawet dodać swoje ulubione przysłowie. Następnie zwróciwszy się do nas, ponownie, zapytał znowu:

— A cóżeście to wy, jak się nazywa, zbadali?

Nim pan Bywalski miał czas odpowiedzieć, wyrwał się pierwej pan Sroka i rzekł:

— To naprzykład, że jest nieprawda, jakoby jeleń nosił żółć w bukiecie.

Pan Zator spojrzał na pana Srokę z pod oka i rzekł:

— Za moich czasów, kiedy polowałem na jelenie w górach sanockich, patrzyłem jeleniowi, jak się nazywa, na wieniec, ogon zaś, czyli, jak się nazywa, bukiet i okolicę, zostawia-

łem do kontemplacyi tym, którzy takiego widoku byli żądni. Zatem w tym względzie, czy jeleń ma żółć w ogonie, czy gdzie indziej, nic stanowczego powiedzieć nie mogę...

Skonsternowany pan Sroka poczerwieniał jak burak, co widząc pan Bywalski nie dopuścił już do słowa pana Srokę, lecz zabrał głos na nowo i tak mówił:

— Skoro pan dobrodziej weźmie na uwagę obecnie całkiem zmienione warunki bytu, to przyzna sam, że łowiectwo przeszło już fazę dawnych zbyt kosztownych zabaw pańskich. Parte okolicznościami musi dziś przejść w stadyum inne, musi się stać niejako własnością ogółu, tak, aby prędzej czy później zaważyło na szali jako jedna z gałęzi bogactwa krajowego.

— Tak? Ze zwierzyny chcecie stworzyć źródło dochodu?— podjął słowo pan Zator. — Ja z takiem zapatrywaniem się nie godzę. Widzę jasno, że wynika ono z żądzy bogactw, z owej *febris aurea*, która wam nawet smak zdefektowała. Pod wpływem tej gorączki wzmaga się u was jak się nazywa fałszywy apetyt i pochłaniacie w czambuł, jak się nazywa, wszystko, co się tylko da pochłonąć. Lasy już powycinaliście, błota osuszacie, a kiedy wam już, jak się nazywa, nawet biedny gończak zawadza, to można śmiało zastosować do was ruską, jak się nazywa gadkę: „Na kiepskij żywit i pyrohy zawadiat.“ A co czy nie tak? Jakże się zwierzyna w niedostatku lasów wychowa i skąd weźmiecie te bogactwa krajowe?

— Czy my tymi pierożkami ze zwierzyny przeładujemy sobie żołądek — odparł na to pan Bywalski — to dopiero przyszłość okaże, ale to jest pewna, że nieubłaganemu prądowi kultury nikt ze skutkiem oprzeć się nie jest w stanie.

Gdy pan Zator namyślał się przez chwilę, co ma na to odpowiedzieć, skorzystał z pauzy pan Sroka i chcąc odpłacić panu Zatorowi, jak to mówią, pięknem za nadobne wtrącił swoje zdanie, mówiąc:

— Nulla regula sine exceptione. Żywy tego dowód mamy w osobie szanownego gospodarza, który, mimo, że mu płoty poopadały, swego lasu za nic w świecie ciąć nie pozwala.

Złośliwa ta krytyka zapaliła gniew w gospodarzu, gdyż przez chwilę miał brwi mocno zmarszczone i ruszał wąsami. Ochłonąwszy przemówił z właściwą mu flegmą w te słowa:

— Do tej łacińskiej, jak się nazywa, sentencyi należałoby eszcze dodać, że ta exceptio nie da się zastosować do tych, co w swym lesie, jak się nazywa, nawet chrustu na płoty nie mają.

Po tej obopólnej przymówce zapanowało na chwilę dość przykre milczenie. Przerwałem je w mniemaniu, że już nadszedł czas, abym i ja do dyskursu się wmieszał.

— Pan dobrodziej — rzekłem — manifestujesz ze stałością godną lepszej sprawy zapatrywania ludzi starej daty, którzy nie tyle z przekonania, ile raczej z przyzwyczajenia zwykli chwalić dawne czasy, a ganić wszystko, co nowsze. Jestto jednak, zdaniem mojem, próżne usiłowanie. Gdzie niemożebność rozpoczyna swoje panowanie, tam siła ludzka nietylko jednej, ale nawet tysiąca jednostek nic zdziałać nie potrafi. Wszak i pan dobrodziej sam nie chciałbyś się cofnąć w owe czasy, kiedy myśliwi przesądami się kierowali.

— Nie przeczę - rzekł pan Zator — że dawniejsi myśliwi grzeszyli zabobonami, ale to nie racya, ażebyśmy byli gorszymi w kniei od dzisiejszych, jak się nazywa postępowców. A cóż pan właściwie sądzisz? Czy my starzy mamy pójść już zupełnie w kąt?

— Przeciwnie, życzę z duszy i serca — odrzekłem — aby wszyscy starzy myśliwi żyli jak najdłuższe lata, jako żywy wzór dla nas młodszych, byleście tylko nie brali nam za złe, że idziemy naprzód z postępem i przyjmujemy to, co w danych warunkach uważamy za jedynie możliwe i zbawienne. Świat idzie naprzód i my się zestarzejemy, a przyszłe pokolenia odrzucą kiedyś jako przesąd to, co my dziś robimy i wyobrazić sobie nawet trudno, jak będzie wyglądało myśliwstwo dalekiej przyszłości.

Nie mogłem się dowiedzić, jakie wrażenie słowa te na p. Zatorze wywarły, gdyż w tej chwili wpadł Michałek z rozpromienionem obliczem i wypytlował nowinę, która nas wszystkich do tego stopnia zajęła, żeśmy od razu o przedmiocie rozmowy zapomnieli.

— Proszę wielmożnego pana — zawołał — w Jedlince są kuropatwy!

— Skąd wiesz o tem? — zapytał z pospiechem pan Zator.

— Przybiegł właśnie do kuchni chłopiec tej biednej gdowy, co siedzi najbliżej Jedlinki i powiedział, że kuropatwy biegają po krzakach, jak „niepryczkiem“ kury po podwórzu.

— Ej, czy ty przypadkiem jak się nazywa nie łżesz?

— Nie, proszę wielmożnego pana, przysięgam Bogu, żem się teraz nie „przemotowidlił“.

— Zaraz się przekonamy-- odrzekł pan Zator, i zwróciwszy się ku nam, zaprosił nas do wzięcia udziału w polowaniu.

— Będę miał sposobność — dodał z uśmiechem — przekonać się naocznie, jak to wy, bez obrazy mówiąc postępowi, jak się nazywa Sontagsjägery strzelacie do kuropatw. Bo ja z góry zapowiadam, że wybieram w stadku zawsze tylko, jak się nazywa, starki.

Za chwilę byliśmy gotowi do wyjścia. Ze strzelbami na ramieniu i ładunkami w kieszeni wyruszyliśmy bezzwłocznie w towarzystwie gospodarza, który, podobnie jak jego nieodstępny satelita, przewiesił po staremu ogromną, workiem na zająca opatrzoną, skórzaną torbę przez plecy i udaliśmy się prosto do „Jedlinki“.

Były to krzaki, oddalone od dworu około 600 do 800 kroków. Nie mogłem tego pojąć, dlaczego onym, wśród pól położonym i z pod uprawy wyjętym dwóm morgom ziemi dostała się nazwa „Jedlinka“, skoro tam oprócz krzaków tarniny, głogów, szakłaku i kilkunastu osik, żadnej ani starej, ani młodej jodły nie było.

Zaledwie wyszliśmy na pole, wysunął się naprzód mimo podeszłego wieku sam gospodarz, a tuż za nim Michałek z ruchami tak niecierpliwymi, jak wyżeł idący za nogą, który chce co moment wyprzedzić swojego pana, lecz nawykły do karności, cofa się napowrót i zostaje w tyle. My trzej szliśmy po bokach.

Gdyśmy się zbliżyli do krzaków na odległość około stu kroków, przystanął na chwilę pan Zator i naradzał się z Michałkiem, czy całą długość zajętej krzakami przestrzeni należy brać w poprzek na dwa razy, czy też wzdłuż na raz. W końcu zgodzili się obaj na to, że mamy przejść wzdłuż. Stosownie do powziętego postanowienia rozstawił nas pan Zator w oddaleniu jeden od drugiego około 50 kroków i bezzwłocznie dał znał do pochodu. Ruszyliśmy z miejsca. Krzaki były rzadkie i nie przedstawiały trudności w postępowaniu, więc przeszliśmy je dość szybko, nie złamawszy ani razu szeregu. Nie wypłoszyliśmy jednak ani kuropatw ani zająca. Pan Zator począł już Michałkowi wymyślać, lecz na jego szczęście już przy końcu zarosłej krzakami prze-

strzeni, zerwało się stadko kuropatw, składające się z kilkunastu sztuk. Pierwszy strzelił dwa razy pan Sroka, ale spudłował, za nim poprawił pan Zator i dwoma strzałami spuścił dwie sztuki, z których jedna była starka a druga młódka. Oba celne strzały wprowadziły pana Zatora w tak dobry humor, że kiedyśmy nierówną wielkość ubitych kuropatw skonstatowali, nie uznał za potrzebne nas objaśnić, dlaczego tym razem odstąpił od swej zasady ubijania w stadku tylko samych starek.

Wyszedłszy z krzaków, poszliśmy dalej na pola. Ubiliśmy jeszcze parę zajęcy. Oglądając je, objaśniał nam Michałek, iż po rudawym kolorze zajęczej sukienki z przodu zawsze umie poznać, że to zajęczyca, bo samiec jest więcej siwawy.

Z mrokiem wróciliśmy wszyscy w jak najlepszej zgodzie, rozweseleni nie tyle rezultatem polowania ile przyjemną przechadzką.

Zasiadłszy do herbaty nie wszczynaliśmy już żadnych desput, bo gospodarz bawił nas opowiadaniem różnych, w ciągu swojego długiego żywota doznanych przygód myśliwskich, które może kiedyś powtórzę.

Seweryn Kisielewski.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

POLOWANIA W AUSTRALII.

W podróży swej naokoło ziemi, odbytej w r. 1893, zwiedził arcyksiążę Franciszek d' Este, obecny następca tronu Habsburgskiego, między innymi Australię i brał tam udział w łowach, które wielce są odmienne od polowań w innych częściach świata. Pozwalamy sobie tutaj podać wyjątek z opisów arcyksięcia, zawartych w dziele, którego drugi tom niedawno został wydany. (*Tagebuch meiner Reise um die Erde* II tomy u Höldera w Wiedniu)

Narromine, 18. maja.

...Gdyśmy się zbudzili w wagonach, które nam służyły za ruchomą kwaterę, powitał nas wspaniały, orzeźwiający poranek. Wkrótce bylismy gotowi do wyprawy i czekaliśmy na Mister Mack'a, dzielnego farmera. Przybył on dopiero około godziny 9ej wielkim breakiem, zaprzężonym w cztery wyborne konie australskie.

W breaku nie było dość miejsca dla nas wszystkich, dla służby i dla broni, trzeba więc było jeszcze sprowadzać z paszy konie pod wierzch. Zabrało nam to dość czasu, chociaż ludzie, wysłani po konie, bardzo zręcznie się do tego zabrali; rzucali się oni konno, galopem, na całe pasące się stado, a odbiwszy odeń upatrzone konie, pędzili za nimi aż ku zagrodzie, gdzie je dopiero chwytano i siodłano.

Nareszcie mogliśmy wyruszyć — przodem kilku z nas razem z Mr. Mack'iem na olbrzymim breaku, reszta towarzyszy, znajomych p. Mack'a i służba konno. Tak przelecieliśmy przez małą miejscowość Narromine i dalej polami do lasu.

Teren myśliwski należy tu do p. Mack'a, którego posiadłość mierzy około 220.000 hektarów i czyni go jednym z najzamożniejszych squatterów. Dość powiedzieć, że dobytek naszego gospodarza liczy 100.000 owiec, 500 sztuk bydła i 500 koni. Pewne przestrzenie swej posiadłości kazał on wykorczować, ogrodził je płotami drucianymi i obsiewa pszenicą; w lasach i krzakach szuka sobie pożywienia bydło, konie i owce. I tu jednakże granice obwiedzione są drucianymi płotami, nie dozwalającymi stadom przechodzić na obce terytorya.

Chcąc pomnożyć i polepszyć pastwiska, uciekają się farmerowie do drastycznego środka, który w oczach Europejczyka, nawykłego do racyonalnej kultury lasowej, trąci wandalizmem. Drzewo nie posiada tu żadnej, lub tylko małą wartość. Wyrąbywać je nie opłaci się, spieniężyć trudno. Farmer obnaża przeto pień drzewa na szerokość dłoni z kory i tak je pozostawia. Skutkiem tego zranienia obumiera drzewo, nie puszcza więcej liści, w lesie robi się jasno i między drzewami zaczyna bujać roślinność, dająca wyborną i żyzną paszę.

Nie potrzeba wiele fantazyi, aby sobie wyobrazić, jak las tego rodzaju wygląda: tu wznosi się potężny pień z uliścieniem chorowitem, ginącem — tam sterczy już bezlistny, suchy szkielet, wyciąga szeroko obnażone swe ramiona i czeka tylko, aby pierwsza lepsza wichura go obaliła.

Zawziętość farmerów odnosi się szczególnie do eukaliptusów, twierdzą oni bowiem, że szczególniej ten rodzaj drzewa, zapuszczający szeroko swe korzenie, wyniszcza ziemię. Drzewa szpilkowe, kazuariny i niebieskie drzewa gumowe bardziej są szanowane. Jakoż lasy australskie, z natury już nie bardzo zwarte, stają się w skutek tępienia ich przez farmerów tak rzadkie, że można przez nie wozem we wszystkich kierunkach przejeżdżać.

Do tych jazd wszakże potrzeba wehikułów szczególnie mocnej konstrukcyi, tęgich koni, a wreszcie nieczułości na liczne uderzenia i podrzucania, na które narażonym jest człowiek, wieziony na przełaj przez leżące pnie i korzenie. Miałem sposobność, niestety, doświadczyć na sobie tej jazdy, podobnie jak i brawury p. Macka, który w najszybszym kłusie i galopie wiózł nas przez leżące pnie olbrzymie, które wydawały mi się nieprzezwyciężonemi dla wozu przeszkodami. Co prawda, nie chcąc wylecieć jak z procy, musieliśmy się obu rękami trzymać naszego breaku i to jeszcze raz p. Mack siedział na moich kolanach, to znów ja na jego. Nie zważaliśmy jednak na te drobiazgi i w jednem tempie szła dalej ta szalona jazda.

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się celem złożenia rady wojennej, a z chwili tej skorzystałem, aby ubić trzy prześliczne, barwami tęczy mieniące się papugi, które tuż koło breaku zapadły. Z narady naszej wynikło, abym ja najprzód podjeżdżał kangury, a konna nagonka z chartami zatrzymała się w pewnej odległości. Podjazd się udał. Ujrzałem w istocie rudel kangurów, które już na znaczną odległość poczęły

się wymykać, skacząc najpocieszniej pomiędzy drzewami. Lecz charty, zoczywszy zwierza, zerwały się także i mimo nawoływań jeźdźców puściły się za kangurami. Niebawem chwyciły też i zadusiły młodą sztukę, ale je charapami odpędzono i odprowadzono dalej w głąb lasu. Gdy znów zapanował spokój, udało mi się breakiem tak blisko kangura podjechać, żem go ubił kulą właśnie w chwili, gdy już się wzniósł na tylne skoki, aby umknąć. Zdobycz ta ucieszyła mnie bardzo, był to bowiem pierwszy mój kangur i to z gatunku wielkich, *Macropus giganteus.*

Po tym udatnym strzale nie było już sposobu podjechać jakiegokolwiek kangura, częścią dlatego, że kolosalny nasz czterokonny break, jadąc wśród łomaków i korzeni, hałasował niemiłosiernie, a częścią i z tej przyczyny, że niecierpliwe charty niepokoiły zwierza. Daliśmy więc za wygraną i p. Mack zarządził polowanie z nagonką.

Zaledwie się gon rozpoczął, gdy jeden ze strzelców przygalopował z raportem, iż kangury wymknęły się z miotu i przeszły na sąsiednie terytoryum. Na wieść tę wskoczyłem ja, p. Mack i dwóch mych towarzyszy na break i rozpoczęła się iście szatańska jazda na przełaj, aby kangurom zabiedz drogę. Miałem uczucie, że siedzę na lawecie armaty, która w pełnym biegu bierze wszelkie przeszkody, aby tylko stanąć na miejscu i podziwiałem przy tej sposobności wytrzymałość breaku naszego gospodarza.

Nagle zatrzymał p. Mack konie i wskazał mi stanowisko, które mam zająć. W pierwszej chwili byłem zdumiony, na co ja tu mam czekać, gdyż przedemną beczała niezliczona trzoda około 1400 owiec, po lewej ręce ciągnął się druciany płot, a na prawo, na kilkanaście kroków odemnie, zatrzymał się p. Mack z breakiem. Lecz nie miałem czasu do dalszych rozmyślań, gdyż zaledwo do strzelb wsunąłem ładunki, już odezwały się harapy i tętent nagonki a zaraz potem rudel kangurów wyskoczył wprost ku mnie, przesuwając się pomiędzy płotem i owcami. Były jeszcze na jakie 100 kroków odemnie, gdy wszczął się łomot tuż poza mną i ukazały się trzy sztuki kangurów w pełnych skokach. Dałem ognia z obu lufek i szczęśliwem *coup double* ubiłem dużą starą samicę i młodszą średnią sztukę. Odgłos strzałów sprawił niesłychany popłoch w zbliżającym się rudlu; stary, przodujący kangur, stropiony zupełnie, jął skakać to w tę, to w ową stronę i cały rudel tak się splątał, żem zdołał jeszcze trzy sztuki z pośród niego wziąć na cel i położyć.

Zauważyć tu muszę, że duży, w pełnych skokach poruszający się rudel kangurów nadzwyczaj oryginalne i komiczne robi wrażenie. A trudno uwierzyć, jak szybkiemi w swych ruchach są te na pozór nieporadne zwierzęta i jak potężne skoki, dzięki silnym odnóżom tylnym i grubemu, sprężystemu ogonowi, są w stanie wykonywać. Są one w ogóle płoche i czujne, a wiodący stadko przodownik wietrzy i spogląda bezustannie na wszystkie strony.

Z ubitych dwóch samic każda miała młode w torbie, które wylazły, gdy matki padły; jedno było już włosem okryte, drugie nagie, oboje jednak zdolne do życia.

Moi obaj towarzysze strzelali także, lecz spudłowali. Konna nagonka, która tymczasem stanęła na miejscu, przywiozła z sobą jeszcze trzy sztuki zwierza, schwytane przez charty. Nie była to łatwa zdobycz, gdyż kangury, zwłaszcza starsze, bronią się zajadle i kaleczą ciężko silnymi pazurami. I tym razem dwa psy były ciężko poturbowane.

Gdyśmy się rozkładowi przyglądali i ubitą zwierzynę obielano, pojawiły się znowu poza nami kangury. Nagonka dosiadła w tej chwili koni, lecz kangurów nie można już było zawrócić.

Podobnie jak w Indyach, tak i w Australii nie może się obejść między Anglikami bez „lunchów“, tj. śniadanek w kniei. Trzeba więc było poddać się temu zwyczajowi, ale przyznać trzeba, że tym razem „lunch“ był bardziej myśliwski, gdyż obeszło się bez nakrywania stołu, srebrnego serwisu i szampana. Piekliśmy poprostu baraninę na wolnym ogniu, a potem zjedliśmy ją na pół surowo, a na pół spaloną. Czasu, którego ta kulinarna procedura wymagała, użyłem na ubicie kilku nowych gatunków ptaków.

Na wniosek Mr. Mack'a wzięliśmy jeszcze jeden miot w rzadkim lesie eukaliptusowym, zarośniętym wysokiemi, żółtemi trawami. Tu wypędziła na nas nagonka kilka szczególnie dużych kangurów; jednego ubił Clam, drugiego ja powaliłem kulą w chwili szalonej ucieczki. Przy końcu zoczyłem jeszcze jednego kangura, gdy przemykał wzdłuż ogrodzenia i strzeliłem doń w chwili, gdy przesadzał przez pobliski potok.

Nie było już czasu na wzięcie jeszcze jednego miotu, gospodarz przewiózł mnie zatem ku położonemu wśród lasów jeziorku, gdzie zapadało ptactwo wodne, a szczególniej pelikany. Prosiłem p. Macka, aby nie dojeżdżał do samej wody, lecz zdala konie zatrzymał i dał mi możność ostrożnego podejścia ku brzegom. On wszakże twierdził, że ptactwo, które tam zapada, nie jest wcale płochem i na widok wózka się nie zerwie. Moje przewidywania okazały się jednak uzasadnione, gdyśmy bowiem z wielkim szumem nad jeziorko zajechali, zerwał się cały klucz pelikanów i odlatywały już bijąc powietrze ciężko skrzydłami. Mimo to udało się mnie i Wurmbrandowi strzelić jeszcze do ostatnich odlatujących sztuk i dwa olbrzymie ptaki *(Pelecanus conspicillatus)* spadły ciężko do wody, rozbryzgując ją naokoło. Spodziewałem się, że krążące ciągle nad wodą pelikany znowu zapadną, schowałem się przeto za drzewo, aby być gotowym do strzału. Ptaki zniżały się w istocie coraz bardziej, lecz w stanowczej chwili zepsuł znowu wszystko poczciwy p. Mack, podjechał bowiem ku mnie swoim breakiem, ażeby mi powiedzieć... iżbym wziął naboje z grubym śrutem! Oczywiście piękne pelikany zniknęły, aby się już więcej nie pokazać. Dotrzymało jednak na szczęście inne wodne ptactwo, przelatujące bezustannie ponad jeziorkiem. Zauważyłem, że były tu żórawie *(Antigone australasiana)*, warzęchy *(Platalea regia)*, czaple szare *(Ardea pacifica)*, kormorany *(Halieus)* i wężówki *(Plotus novae hollandiae)*, nakoniec gatunki australskich ibisów i gromady kaczek. Kilka sztuk z tego różnorodnego ptactwa udało mi się zdobyć.

Ale i teraz jeszcze nie mógł p. Mack na miejscu wytrzymać, podjeżdżał ku mnie w towarzystwie swych konnych przyjaciół, tak, iż w końcu uznałem, że dalszy mój pobyt nad jeziorkiem na nic się nie przyda i z żalem zająłem swe miejsce na breaku obok gospodarza. Jeziorko owe, a raczej spokojna zatoka rzeczna, otoczona lasem, była nietylko pięknem, malowniczem ustroniem, gdziebym był chętnie dłuższy czas posiedział, lecz z pewnością byłbym tam jeszcze kilka ciekawych ptaków ubił.

Otoczeni kawalkadą, lecąc na przełaj przez lasy, przebyliśmy szalonych 6 kilometrów, zanim dotarliśmy już po zachodzie słońca z powrotem do Narromine. W ciągu tej jazdy podziwiałem doprawdy wytrzymałość koni australskich, gdyż z wyjątkiem pauzy śniadaniowej, były one ciągle w pełnym galopie, a jeźdźcy, stanowiący nagonkę, wcale ich nie oszczędzali. Owszem z powrotem dokazywali jeszcze na nich, to przeganiając się w szalony sposób, to improwizując *jeu de*

barre w ciągu jazdy. Także i nasza czwórka miała niełatwe zadanie, ciągnęła bowiem ciężki break i sześć osób na nim przez cały dzień albo galopem albo tęgim kłusem — zadanie, zasługujące na tem większy podziw, że konie australskie nie widzą nigdy ani ziarnka owsa lub innego jakiegokolwiek ziarna, lecz żyją jedynie z wolnego pasania się po łąkach i lasach. Skoro koń odbędzie swą robotę, puszczają go po prostu na pastwisko i nie troszczą się więcej o niego. Konie te są zazwyczaj duże i nie mają ładnych kształtów, ale bardzo silną, kościstą budowę. Każdy farmer utrzymuje dużą ilość koni. W zaroślach widać co chwila stadka po 6 do 8 sztuk. Skoro konia potrzeba, spędzają je w zagrodzenie lub chwytają na lasso.

Często atoli zdarza się, że farmer widzi się zniewolonym stadninę swą zmniejszyć. Bywa to w smutnych latach posuchy, która się staje niesłychaną klęską dla całego kraju. Wówczas to, chcąc zachować co się da skąpej paszy dla owiec, decymuje farmer resztę swego żywego inwentarza. W czasie ostatniej posuchy zastrzelono na większych farmach australskich przeszło 6.000 koni.

Posucha, to najstraszniejszy dopust na australskiego gospodarza; źródła zanikają, potoki wysychają w swych łożyskach, trawa usycha na pniu. Bydło ginie z głodu i pragnienia. Farmer musi wówczas dbać o to, aby choć główne rozpłodniki i matki swych trzód utrzymać i z następnym rokiem rozpoczyna hodowlę *ab ovo*. Wszelka nadwyżka inwentarza żywego idzie wprost na marne. W czasie mojego pobytu w Australii był rok szczególniej wilgotny, pasze w skutek tego były bujne i wszędzie spotykaliśmy też wybornie wyglądający żywy inwentarz gospodarski.

Hodek, który przez cały dzień uwijał się na koniu wśród naganiaczy, nie wyszedł także bez zdobyczy. Pogonił za dwoma odbitymi z rudla kangurami i ścigał je dopóty, dopóki ich nie dostał, lecz zabłąkał się przy tej sposobności w lesie. Musieliśmy wysłać kilku jezdnych na poszukiwania za nim i ci rychło go wynaleźli.

Wracając do Narromine, zrobiłem znajomość z panią Mack, która wraz z córką i kilkoma innemi paniami wyjechała naprzeciw nas w powozikach, zaprzągniętych angielskimi ponnies. Jedenastoletni syn p. Mack, George, tęgi chłopak, jeżdżący wybornie choć nieuczenie na koniu, służył nam przez cały dzień za naganiacza.

Wieczór i noc przepędziliśmy znowu w wagonach naszego pociągu.

Narromine, 19. maja.

Mr. Mack zaprosił mnie, ażebym zwiedził jego farmę, dodając przytem, że małego tylko zboczenia trzeba z drogi do kniei, ażeby się do niej dostać i oglądnąć. Przyjąłem zaproszenie z przyjemnością, byłem bowiem bardzo ciekawy zobaczyć dom farmera, żyjącego wśród stepów i lasów pośród niezliczonych swych trzód, zdala od świata, tylko w kole rodziny i domowników.

Niebawem stanęliśmy w farmie i ujrzeliśmy piękny, parterowy dwór z okalającą go otwartą werandą, podobny do dworów wiejskich, napotykanych w południowych prowincyach naszej monarchii. Dom wystawiony jest z surowych cegieł a kryty zwyczajną blachą falistą, wewnątrz atoli urządzony ze smakiem i wygodą.

W salonie przyjęła mnie cała zgromadzona rodzina p. Macka w towarzystwie kilku przyjaciółek, które z Sidney i Melbourne w odwiedziny przybyły. Zwiedziłem także prześliczny i wybornie utrzymany ogród, w którym, mimo świeżego przymrozku, czarowały oko pyszne kwiaty i gdzie nam podano świeże winogrona, któremi chodnik winogradowy bogato był obwieszony.

Minister Suttor wpadł na pomysł, ażebym obecne panie zaprosił wieczorem na obiad do naszego wagonu salonowego. Wydawało mi się to zrazu dziwnem, gdyż jeszcze nigdy nie podejmowałem dam w wagonie salonowym, a tembardziej wśród puszczy australskiej — lecz urok nowości skusił mnie zgodzić się na tę propozycyę, która zresztą uprzejmie przyjętą została. Cieszyłem się już naprzód, iż po trudach dnia znajdę się w kole uroczych dam, między któremi palma pierwszeństwa należała się młodej rodowitej Australce o prześlicznych migdałowo wyciętych oczach.

Wyruszywszy do kniei, przejeżdżaliśmy około szop, w których odbywa się strzyża owiec naszego gospodarza z pomocą maszyn. Jest to procedura tak szybka, że jeden człowiek może w ciągu dnia 100 owiec ostrzydz. Ponieważ to jednak nie był czas strzyży, nie mogłem rzeczonych maszyn widzieć w ruchu.

Gdyśmy stanęli w kniei, rozpoczął się natychmiast pierwszy gon, lecz nagonce nie wiodło się jakoś, bo chociaż było dużo kangurów w miocie, przeważna ich część wymykała się flankami lub przebijała się przez nagonkę, tak, iż tylko jeden padł od mej kuli. Stanowisko moje tym razem wypadło koło zasieku kangurowego, tj. miejsca ogrodzonego wysoko o szerokich, w klin zwężających się wejściach, służącego do spędzania i ubijania kangurów w większej ilości. Jeżeli mianowicie kangury rozmnożą się w której okolicy zbytecznie, tak, że zachodzi obawa o brak paszy dla owiec, zmawiają się właściciele sąsiadujących ze sobą farm i następuje łączna wyprawa na koniach, aby kangury do zasieku spędzić i wybić. W obec znacznej mnożności tego torbacza bywają to czasem istne rzezie. W ostatnich czasach, w ciągu jednego roku, odbyło się kilka takich spędów na terytoryach od 1000 do 1300 hektarów i ubito 60.000 kangurów. Mięso tych zwierząt nie przedstawia żadnej wartości, natomiast futro jest cennym artykułem handlu wywozowego szczególniej do Europy. W r. 1892 padło w Australii 144.712 kangurów wielkich i 655.598 małych, t. z. „wallaby“. Płodność kangurów równać się musi płodności naszych zajęcy, gdyż inaczej, w obec ciągłego tępienia tych zwierząt, nie dałaby się wytłumaczyć nieustająca ich mnogość. Co prawda krew kangurów w zamieszkałych częściach Australii zasilaną bywa ciągle przypływem zwierząt, przybywających z obszarów, których jeszcze kultura nie dotknęła.

Pieczona, a raczej tylko przywęglona baranina zapełniła znowu śniadaniową pauzę naszą, poczem urządziliśmy sobie polowanie na ptactwo wodne. Sądząc z wczorajszych doświadczeń nie obiecywałem sobie wiele, lecz doznałem przyjemnego rozczarowania tak co do oryginalności polowania jak i obfitości zdobyczy.

Dostawszy się ponad długą, wśród zarośli wijącą się odnogę rzeczną, wśród której sterczało mnóstwo ubumarłych pni eukaliptowych, nadających całemu obrazowi szczególnie melancholiczny charakter, zamierzyła nagonka konna spędzać tu ptactwo z obu brzegów ku środkowi, tak, aby musiało się trzymać tylko środka rzeki lub tylko w pośrodku nad nią się unosić. Pokazało się jednak, że odległość jednego brzegu od drugiego wynosi około 220 kroków, że przeto połowa tej mety jest jeszcze na strzał śrutowy za daleką. Lecz farmer australski nie zna żadnej trudności, więc i Mr. Mack postanowił bez namysłu, że wjedzie ze mną do rzeki, wyprzągnie konie i tak będę mógł z kozła strzelać do ptaków. Jak się rzekło, tak się i stało. Konie żachały się zrazu wjeżdżać do rzeki, lecz zacięte batem ruszyły odrazu po

brzuchy w wodę i jużto chwytając grunt nogami, jużto płynąc, zaciągnęły wysoki break na środek rzeki. Mr. Mack schyliwszy się z kozła zdjął postronki z orczyków, potem skoczył na grzbiet jednemu koniowi i odprowadził tak całą czwórkę do brzegu, pozostawiwszy mnie własnemu losowi. Że jednak i kozioł breaka był już do połowy pod wodą — dyabelnie zimną, bo ubiegłej nocy był przymrozek — więc w ciągu całej godziny pobytu na rzece, używałem nie dość przyjemnej kąpieli nasiadowej. Któżby jednak zważał na takie drobnostki wśród ognia pasyi myśliwskiej!

Zaledwo wsunąłem ładunki do mych strzelb, gdy nadciągnęły kaczki, tak, że mogłem odrazu rozpocząć kanonadę co prawda nie bardzo śmiertelną, bo ciąg był bardzo wysoki. Któż więc opisze moją irytacyę, gdy w chwili, w której znowu bezskutecznie strzeliłem do kaczek, pozbawiając się z luf ostatnich ładunków — nadciągnął na strzał czarny ł a b ę d ź, egzemplarz najciekawszego gatunku australskiej ornis, którego się na tych wodach wcale nie spodziewałem. Na szczęście nie straciłem dużo czasu na daremne lamenty i już byłem znów do strzału gotowy, gdy nadciągnęła para czarnych łabędzi. Szczęśliwą dubletą ściągnąłem obie te sztuki do wody. Były to prześliczne ptaki, o czarnych smukłych tułowiach, białych skrzydłach i mocno czerwonych dzióbach. Ku końcu nagonki dostał mi się jeszcze jeden czarny łabędź, którego w znacznej wysokości ubiłem.

Trzy te łabędzie były istnemi *pièces de résistance* dzisiejszej wycieczki; prócz tego ubiłem 12 kaczek, przeważnie z warzęchowatymi dzióbami. Zdobycz ta nie stała w żadnym stosunku do zużytych patronów, lecz tłumaczy mnie znaczna wysokość, w jakiej ptactwo ponad rzeką ciągnęło.

Teraz chodziło o to, aby się z wody wydostać. Nie było to tak łatwo. Jeźdźcy przyprowadzili wprawdzie konie do breaku, lecz jak je zaprządz? Tylko z kozła można było to uskutecznić, tymczasem konie jęły się niepokoić i rzucać; gdy jeden był już zaprzągnięty, drugi się wyrywał, trzeciego ani rusz przybliżyć do breaka, czwarty stawał dęba wśród wody — i tak nareszcie, częścią zaprzężone, częścią wolne, zaczęły się kręcić razem z breakiem, aż w końcu dyszel złamały. W ciągu tego zamieszania i próżnych usiłowań wskoczyłem na grzbiet koniowi jednego z naganiaczy i tak dopłynąłem do brzegu. A nie mało jeszcze upłynęło czasu, zanim break i konie cugowe udało się na brzeg wydobyć.

Na zakończenie dzisiejszych łowów przygotowanem było przepędzenie jeszcze jednego miotu, że jednak epizod rzeczny dużo nam czasu zrabował, więc Mr. Mack naglił a potem tak szalenie galopował z nami przez pnie i korzenie, że można było zawrotu głowy dostać. W ciągu tej jazdy dojrzałem dość daleko siedzącego pod drzewem kangura i udało mi się kulą go na miejscu położyć.

W środku lasu zjechaliśmy się z wysłaną już naprzód nagonką konną, która tymczasem nie próżnowała i sforsowała biednego e m u (*Dromacus novae hollandiae*), strusia australskiego. Ptak ten, który stojąc wyższym jest od rosłego człowieka, leżał na ziemi ze związanemi cieczkami i musiał być zakłutym, ażeby wzbogacić moje zbiory zoologiczne. Sforsowanie uciekającego emu nie należy do łatwych rzeczy; naganiacze gonili go kilka kilometrów w największym pędzie, zanim go pochwycili. Konie były po tym biegu zupełnie wyczerpane.

Miot na kangury nie powiódł się i to znowu z tej samej przyczyny co rano, tj., że naganiacze najeżdżali za ostro, skutkiem czego rozbryzgiwały się rudle, a pojedyńcze sztuki wymykały się flankami. Od kuli padł tylko jeden kangur, drugiego schwyciły charty i zadusiły.

Czyniąc zadość memu zaproszeniu, przybyły panie wieczorem na obiad do naszego wagonu salonowego. Wieczór spędziliśmy też bardzo przyjemnie wśród niewymuszonej wesołości. Ja, niestety, pomny przysłowia: *Würde bringt Bürde*, asystowałem jako gospodarz starszym paniom i pozostawiłem towarzyszom moim grono młodszych, którym też z całą galanteryą nadskakiwali.

Mullengudgery, d. 20. maja.

Puściliśmy się w podróż nocą i przybyliśmy z Narromine do Mullengudgery, aby tam na posiadłościach niektórych farmerów i w ich towarzystwie zapolować. Najwybitniejszymi z pomiędzy tych farmerów byli Mr. Alison i Mr. Campbell.

Przedewszystkiem zamierzonym był podjazd na d r o p i e australskie, bardzo dla mnie upragniony, gdyż nie znałem dotychczas tego ptactwa i przyrodniczego opisu tegoż nigdzie nie znalazłem.

Zaledwo dnieć zaczęło, przyjechał po mnie Mr. Campbell małym powozikiem, do którego wsiadłem razem z Clamem i puściliśmy się zwyczajem australskim co koń wyskoczy na przełaj przez pola aż na step, służący owcom za pastwisko, a porośnięty tu i owdzie burzanami i pojedynczemi grupami drzew. Wkrótce ukazał mi Campbell dużego ptaka, stojącego z wyciągniętą szyją wśród traw. Z kształtów rozpoznałem w nim dropia. Staraliśmy się go podjechać, ale nadaremnie. Australski drop widocznie ma tę samą naturę, co jego krewniak europejski, więc przedewszystkiem jest równie płochliwy. Strzał dany doń kulą ze znacznej odległości był oczywiście bezskutecznym. Poczęliśmy tedy krążyć po stepie i objeżdżaliśmy co chwila nowe dropie, lecz zawsze zrywały się one już na kilkaset metrów od naszego wózka i odlatywały. Raz tylko udało nam sią podjechać dropia na strzał sztućcowy i ubiłem wtedy piękny egzemplarz, lecz niestety kula ze sztućca cal. 500 zanadto go poszarpała.

Upierzenie australskiego dropia jest odmienne od upierzenia dropia europejskiego Kogut ma dużą czarną tarczę na piersi, a piórka jego grzbietowe są perełkowo nakrapiane; brak mu zupełnie wydatnych wąsów pod żuchwą przy dzióbie, którymi się nasz drop odznacza.

Podjazd ów poranny był bardzo zajmującym, gdyż oprócz dropi widziałem jeszcze inne gatunki ptaków australskich, między innymi australskiego ż ó r a w i a, który krocząc poważnie wśród bezustannego, przeraźliwego krzyku żeruje. Strzeliłem do jednego z nich kulą, lecz go nie dostałem. Na gałęziach suchego drzewa ujrzałem całe stadko i b i s ó w, a dalej spostrzegłem po raz pierwszy parkę ślicznych różowych k a k a d u z czerwonymi czubami, które ciągle wyzywająco nadstawiały. Wracając ubiłem pięknego sokoła *(Hieracidea berigora)*.

Przybywszy na stacyę, zastałem tu moich towarzyszy, z którymi wyruszyliśmy najprzód na ptactwo wodne, a potem na e m u s y. W wyprawie tej towarzyszył nam cały orszak jezdnych naganiaczy. Break nasz był tym razem jeszcze większy i potężniejszy niż wehikuł p. Macka; rozmiary miał kolosalne, wyłaziło się nań jak na wieżę, ale że nim powoził p. Mack, mistrz w powożeniu, można się mu było powierzyć. Dla skrócenia drogi skierował p. Mack konie wprost na gęsty zapust szpilkowych drzew, które już do trzech metrów wysokości dochodziły. Ciężarem swym i siłą rozpędu łamał nasz break te drzewka i przejeżdżał po nich,

torując sobie sam drogę. Bardzo zręcznie zachowywały się przytem konie, przeskakując i przemykając się pośród gęstwiny.

Niebawem zoczyliśmy mnóstwo dropi, albo żerujących małemi stadkami albo przemykających opodal. Tożsamo wyskakiwały zewsząd króliki, lub siedziały po 6 lub 8 przed swemi norami. Jestto najokropniejsza plaga Australii; przywiezione tu niegdyś z Europy, rozmnożyły się w przerażający sposób i nie dadzą się dziś wytępić. W jak kolosalnych ilościach się pojawiają, świadczy relacya p. Campbella, który mi mówił, że na jego farmie chwyta się czasem przez jedną noc 8.000 królików, a przecież nie znać ubytku. Niektórzy jego sąsiedzi musieli wprost farmy swe porzucić, gdyż nie mogli się królikom opędzić. W r. 1883 wzmogła się ilość królików do tego stopnia, że niezmierny obszar 102.300 kilometrów kwadratowych, t. j. mniej więcej tyle, co Czechy, Morawia, Szląsk i Niższa Austrya, został zupełnie przez króliki zniszczony. Rząd widział się zatem zniewolonym od r. 1883 do r. 1890 dawać znaczne zasiłki, ażeby wszelkimi możliwymi sposobami tępić tego szkodnika.

Subwencye rządowe, wydane na ten cel, wynosiły przeszło 12 milionów guldenów. Jedynym środkiem zaradczym są płoty z siatek drucianych, którymi się zagrożone terytorya odcina. Kosztem rządu postawiono 1688 kilometrów takiego płotu, a długość innych płotów, urządzonych przez farmerów, wynosi około 21.560 kilometrów.

Gdyśmy się zbliżyli do małego, lecz dość gęstego lasku, wypadło zeń kilka sztuk e m u, za którymi jeźdźcy natychmiast puścili się w pogoń i zapędzili je w kąt, utworzony przez stykające się płoty. Zanim jednak zdołaliśmy przybyć na miejsce z bronią palną, udało się spłoszonym ptakom po kilku daremnych próbach przesadzić przez płot i tyleśmy ich widzieli.

Nadzwyczajna mnogość żurawi obwieściła nam, że zbliżamy się ku moczarom i jeziorkom; kryły się one w dość niskiem sitowiu i napełniały powietrze ochrypłym krzykiem. Kierownicy polowania postanowili rozstawić nas na kilku punktach, gdzie kaczki zwykle zapadają i urządzić na ptactwo konną nagonkę. Wurmbrand i Clam pozostali zaraz na wstępie moczarów, ja zaś udałem się jeszcze dalej o 7 kilometrów i po drodze, mijając otwarte ługi, ubiłem kilka ciekawych sztuk, a między tem rzadką kanię.

Przebywszy galopem dość głęboką odnogę rzeczną, znalazłem się na mojem stanowisku, t. j. nad brzegiem małego jeziorka, leżącego pomiędzy dwoma większymi moczarami. Tutaj wyszukałem sobie wygodne siedlisko pod pniem wierzby i śledziłem bystro wody i moczary do około.

Od czasu do czasu przeciągały stadka kaczek, ale w takiej wysokości, że niepodobna było strzelać. Z oddali dochodził mnie odgłos strzałów, czasem zaś trzaskanie charapów — lecz zdaje się ptactwo obrało sobie jakiś inny kierunek do przelotów, gdyż koło mnie nic się nie pokazywało. Kierownicy polowania zrobili widocznie mylną kombinacyę, rozstawili myśliwych za daleko od siebie, tak, że po pierwszych zaraz strzałach mogło ptactwo obrać bezpieczniejsze kierunki i rozleciało się na wszystkie strony świata. Co do mnie, wytrwałem na swem stanowisku dwie godziny i musiałem się zadowolnić czterema kaczkami; dopiero przy końcu uwieńczoną została moja cierpliwość, gdyż ubiłem dwa rzadsze ptaki, t. j. ibisa, którego odstrzeliłem od stada, ciągnącego wysoko nad moją głową i australskiego żórawia. Ten zapadł przy mnie na jakich 200 kroków; strzeliłem do niego dwa razy kulami i chybiłem, żem jednak strzelał z ukrycia, więc żóraw nie mogąc dojrzeć, skąd strzały mu grożą, dotrwał na miejscu i padł od trzeciego strzału.

Moi towarzysze nie wyszli także z próżnemi rękami; przynieśli z sobą dwa dropie, ubite na piaszczystem wybrzeżu moczaru.

Już w czasie polowania błotnego widziałem przemykających kilka emusów, naciskałem więc na naszych gospodarzy, ażeby popołudniu nagonkę na nie urządzić. Zgodzili się na to jak najchętniej, a wyznaczywszy mi stanowisko przy płocie drucianym na polance okrytej karłowatemi drzewami i krzakami, wysłali jeźdźców szerokim łukiem ku memu stanowisku. Starałem się ukryć za krzewami jak było można i już po 20 minutach usłyszałem hukania galopującej nagonki i tuman kurzu zbliżał się szybko ku mnie. W miarę rozchodzenia się kurzu uderzył mnie widok nadzwyczajny: około 40 sztuk emu z podniesionemi w górę szyjami szarżowało w szalonym pędzie pod wodzą dużego, prawie zupełnie czarnego koguta. Ptaki te posuwały się wzdłuż płotu, którego nie mogły przesadzić i od czasu do czasu rzucały się w bok, chcąc się wymknąć, czemu jednak nagonka zręcznie zapobiegała. Dopiero na 40 kroków zoczyły mnie pierwsze ptaki i wówczas poszło wszystko w rozsypkę. Strzeliłem do najbliższego biegusa śrutem i słyszałem, jak ziarna w silną, elastyczną okrywę piór uderzyły, lecz ptak niestety umknął. Widząc to, chwyciłem prędko sztuciec do ręki i ubiłem starego koguta w chwili, gdy się do ucieczki zwracał. Dalej z powodu zbliżającej się nagonki nie mogłem strzelać. Stadko emusów pierzchnęło w pole, a z towarzyszy moich, którzy niestety za daleko byli postawieni, tylko jeden Clam mógł strzelić do nich i to na bardzo znaczną odległość. Gdyby zajęli byli bliższe stanowiska, bylibyśmy z pewnością kilka tych pięknych ptaków zdobyli.

Sztukę, którą postrzeliłem śrutem, dogonili i dobili jeźdźcy. Ubite emusy były szczególnie pięknymi i dużymi egzemplarzami, a zdobycz ich była dla mnie tem cenniejszą, że są to w ogóle ptaki rzadkie, bo już wymierające.

Nagonka jezdna usiłowała zawrócić pomykające stadko tak, ażebyśmy, nie schodząc z naszych stanowisk, jeszcze raz mogli strzelać i w istocie udało im się kilka emusów ku nam napędzić, ale przezorne ptaki przypomniały sobie snać miejsce, w którem niedawno były w takich opałach i już w znacznej od nas odległości zdołały się wymknąć.

Gdy więc dalsze łowy na emusów były daremne, a mieliśmy jeszcze nieco czasu, zaproponował mi Mr. Campbell, ażebyśmy zapolowali na kakadusy i dropie. W tym celu wysłał na zwiady dwóch jezdnych, którzy wróciwszy niebawem, zameldowali, że ptactwo pożądane jest w pobliżu. Ruszyliśmy też jak najspieszniej breakiem we wskazanym kierunku i ujechawszy dwa kilometry, ujrzeliśmy stadko przepysznych różowych kakadu *(Cacatua roseicapella)*, które unosiły się ponad szczytami drzew i wkrótce w otwartem polu zapadły. Zeskoczyliśmy tedy z Wurmbrandem i zeszliśmy te piękne ptaki na odległość 60 kroków. Było ich 300 do 400 sztuk, podnosiły pociesznie swe czerwone czubki i krocząc poważnie śród trawy, żerowały. W odległości 60 kroków, zoczywszy nas, frunęło całe stado w górę jakby na komendę, a mnie udało się dwoma strzałami spuścić trzy przeraźliwie skrzeczące sztuki na ziemię.

Jestto szczególnym zwyczajem kakadusów, że nie chcą się rozłączać z zabitymi lub rannymi towarzyszami i teraz więc stado, wzniósłszy się w górę jak różowy obłok, zataczało koła nad nami i uderzało co chwila na dół, tak, że można było jeszcze kilka razy strzelać i dalszych 10 sztuk

ubić. Nareszcie wzbiło się stado wysoko w górę i zniknęło płynąc ponad szczytami eukaliptusów.

Z powrotem z kniei udało mi się jeszcze zastrzelić trzy śliczne papużki i dropia kulą. Było już całkiem ciemno, gdyśmy stanęli na stacyi, gdzie Hodek był już preparowaniem ubitych sztuk zajęty.

Pożegnaliśmy się z uprzejmymi farmerami i pociąg kolejowy przewiózł nas niebawem do Narromine, gdzieśmy się rozłączyli z tak bardzo około naszych łowów zasłużonym i tak przyjacielskim Mr. Mack'iem, pożegnawszy go jak najserdeczniej.

St.

KORESPONDENCYE.

Lwów, d. 8. maja 1896.

(Przeciw nowej ustawie łowieckiej).

Z inicyatywy Towarz. myśliwskiego im. św. Huberta rozesłaną została do innych Towarzystw myśliwskich w kraju, a przez wiele z nich do Ministerstwa spraw wewnętrznych petycya przeciwko sankcyonowaniu ustawy łowieckiej, którą sejm krajowy w d. 30. stycznia b. r. uchwalił.

„Pomijając liczne sprzeczności i niedostateczność postanowień tej ustawy — pisze rzeczona petycya — udaremniłby przedewszystkiem §. 41. racyonalne jej wykonanie. Wedle postanowień tego paragrafu miałoby być polowanie w niedzielę i dnie świąteczne zakazanem. Gdyby postanowienie to stało się prawem, byłoby ono zupełnie nowem, a prawdopodobnie jedynem w ustawodawstwie austryackiem. Już sama ogólna stylizacya tego paragrafu daje najlepszą sposobność do najrozmaitszych tłumaczeń. Ponieważ w monarchii austryackiej wszystkie wyznania są równo-uprawnione, więc przedewszystkiem narzuca się pytanie, czy przez „dnie świąteczne“ wszystkie dnie świąteczne wszystkich uznanych wyznań są rozumiane, lub czy się przez to tylko święta chrześcijańskie rozumieć mają. Gdyby święta wszystkich wyznań jako dnie spoczynku w myśliwstwie miały być uważane, byłyby osoby uprawnione do polowania zniewolonemi, bez względu na to jaką religię same wyznają, nie wykonywać prawa polowania w dnie świąteczne obcych im wyznań. Gdyby zaś chciano przyjąć, że przez „dnie świąteczne“ są tylko święta chrześcijańskie rozumiane, to znów ze stanowiska równouprawnienia nie uznajemy za słuszne, dlaczegoby niechrześcijańscy właściciele prawa polowania mieli sobie na korzyść swych chrześcijańskich współobywateli nakładać przymus w wykonywaniu tego prawa.

Gdyby jednakże, ze względu na użyte wyrażenie „niedziele i dnie świąteczne“, miano przez dnie świąteczne rozumieć tylko chrześcijańskie, a między niemi tylko katolickie, to znów nasuwa się pytanie, mające swe znaczenie specyalne w naszym kraju, do którego obrządku odnosi się postanowienie ustawy.“

Wchodząc bardziej w merytoryczną stronę zaczepionego paragrafu, pisze dalej memoryał:

„Polowanie jest dla myśliwego przyjemnością, której się oddaje w chwilach wolnych od zajęć; gospodarz wiejski, oficer, urzędnik, adwokat, notaryusz, może tej przyjemności w regule tylko w niedziele i dnie świąteczne używać, t. j. w tych dniach, w których mu jego zajęcia zawodowe dozwalają odpocząć. Będącem w mowie postanowieniem ustawy byłaby t. zw. inteligencya pozbawioną przyjemności polowania, *cui bono?* Gdyby ustawa miała się zwrócić tylko przeciw polowaniom z nagonkami, możnaby jeszcze przypuszczać, że leży to w religijnym interesie ludności — jeśli jednak prawodawca wszelkie polowania w niedziele i dnie świąteczne zakazuje, to ma to już cechę przymusu co do wykonywania przepisów religijnych, a pod tym względem ma być każdemu obywatelowi swoboda pozostawiona.“

„Wobec tego, że polowanie jest rozrywką, a nie zajęciem zawodowem, trudno pojąć, dlaczego prawodawca, który z socyalno-politycznych względów zaprowadził spoczynek niedzielny w przedsiębiorstwach przemysłowych, miałby w tym wypadku imperatywnie obywateli w rozrywkach ich ograniczać, a to tem bardziej, że nigdzie zresztą nie istnieją ograniczenia w zakresie podobnych hygienicznych rozrywek, jak np. wyścigi, sport kołowy i t. p.“

Przy końcu rozwija memoryał, że §. 41. zwraca się przeto najbardziej przeciw Towarzystwom myśliwskim w kraju, do których przeważnie miejska inteligencya należy — że szkodzi racyonalnemu polowaniu, bo bo niwecząc Towarzystwa, niweczy także te zabiegi około ochrony zwierza łownego, które Towarzystwom myśliwskim ma się do zawdzięczenia — że w dalszej konsekwencyi występuje przeciw interesowi gmin, bo zmniejsza ilość kompetentów do dzierżawy polowań gminnych, a więc obniża ich wartość — że nakoniec popiera pośrednio kłusownictwo, bo kłusownicy, którzy właśnie najwięcej w niedziele i święta do kniei się zakradają mieliby tem swobodniejszą rękę.

O ile memoryał w pierwszych swych wywodach jest zbyt adwokacki i doktrynerski — i rozumuje tak, jak gdyby stosunków galicyjskich nie znał — to niezawodnie w dalszej swej treści dotyka w istocie ważnych i prawdziwych momentów. Zbyt dorywczo uchwalono zaprawdę w pełnym sejmie, pomimo innej poprawki, brzmienie §. 41. w tej stylizacyi, jaka się ostatecznie ostała, wiadomo bowiem, że Wydział krajowy w projekcie swym był ostrożniejszy i proponował tylko takie postanowienie, aby polowanie przez cały dzień w niedzielę, t. j. i w czasie nabożeństwa, i wogóle hałaśliwe polowania z nagonką były wzbronione.

Nie sądzimy jednak, ażeby przy wydawaniu przepisów, wprowadzających ustawę w życie, nie dało się złagodzić §. 41. właśnie dlatego, że jest ogólnikowym, że mówi nie o „wszystkich świętach“, jak twierdzi mylnie memoryał, lecz tylko o „świętach uroczystych“ i że mianowicie fakt istnienia różnych wyznań i obrządków, wymaga dalszych szczegółowych określeń. Intencyę zasadniczą ustawy uzna niewątpliwie każdy, a jeśli ta intencya należycie przez władze wykonawcze będzie pojęta, może cała sprawa zupełnie inaczej wyglądać, niż ją memoryał wzmiankowany przedstawia.

Nareszcie nie byłoby w tem nic zdrożnego, gdyby sejm miał jeszcze być wezwany po ponownego uchwalenia §. 41. ze względu na obowiązujące ustawy zasadnicze, gdyż byłoby niewątpliwie roztropniej i sprawiedliwiej, gdyby wrócił do łagodniejszej stylizacyi pierwotnego projektu wydziałowego.

L.

KRONIKA.

Niespodziewana zdobycz. W lasach tuturkowieckich pod Uhrynowem w powiecie Sokalskim ubito d. 7. b. m. zbłąkanego łosia, byka dwuletniego. Prawdopodobnie pochodzi on z lasów wołyńskich, z okolic Włodzimierza wołyńskiego, gdzie już większe kompleksy lasów się ciągną. Ubity łoś był rosły i ważył 250 klg.; odrastające r gi miały 7 cm. długości. Strzelono go w komorę przez łopatkę prawą.

Niezwykłego towaru dostarczył na targ miejski w Kijowie pewien włościanin okoliczny. Przywiózł on 63 sztuk żywych dropi, złapanych na polu nie w sidła, lecz wprost rękami. Stało się to tak: Deszcz ulewny padał przez cały dzień, wieczorem zaś wiatr wschodni przyniósł mróz kilkustopniowy i pokrył powłoką lodową przemrożone pióra ptaków, skutkiem czego ptaki tak osłabły, iż ruszyć się z miejsca nie mogły. Zmarzłe stado ujrzał włościanin, podjechał dwoma wołami i zabrał wszystkie dropie, związawszy je uprzednio. Następnie przywiózł dropie do domu, umieścił w ciepłej owczarni, a nazajutrz wywiózł na targ do Kijowa, gdzie w przeciągu godziny posprzedawał wszystkie ptaki po 2 rs. za sztukę.

Nowy Jonasz. Angielskie pismo naukowe *Cosmos* opowiada następujący fakt, za którego prawdziwość spada nań cała odpowiedzialność: „W miesiącu lutym 1895 r. statek używany do połowu wielorybów „Gwiazda północna", znajdując się w pobliżu Grenlandyi, spostrzegł olbrzymiego wieloryba i spuścił na morze dwie łodzie z rybakami. Rybacy dogonili wkrótce wieloryba i zadali mu ranę śmiertelną harpunem. Ugodzony potwór, rzuciwszy się w głąb, przewrócił ogonem jednę z łódek, skutkiem czego wszyscy siedzący w niej rybacy wpadli do wody. Pospieszyli im z pomocą rybacy, umieszczeni w drugiej łodzi i wydobyli wszystkich prócz jednego, który się już na powierzchni morza nie pojawił. Rybak ten nazywał się James Bartley.

„Gdy ubity wieloryb spłynął, rybacy wyciągnęli go na pokład statku i poczęli ćwiartować. Robota ta trwała całą dobę i dopiero po 24 godzinach dostali się do żołądka wieloryba. Jakiež było ich zdumienie, gdy w żołądku znaleźli... Jamosa Bartleya. Był bez przytomności, ale dawał jeszcze znaki życia; położyli go tedy do łóżka, zaczęli cucić i rozcierać i przywrócili w końcu do życia. W ciągu pierwszych dni Bartley był jak szalony; nie można było zeń wydobyć ani słowa, ale po trzech tygodniach, przyszedłszy już całkiem do zdrowia, tak opisywał swoje wrażenia z pobytu w brzuchu wieloryba:

— Pamiętam doskonale, jak uderzenie ogona wielorybiego przewróciło łódkę i jak wpadłem w wodę. Tu jednak znalazłem się w paszczy potworu i wieloryb mnie połknął. Przez kanał pokarmowy, który jest bardzo wąski, posuwałem się powoli, byłem ściśniony i ubezwładniony; nagle jednak, skutkiem gwałtownego ruchu, wpadłem do wielkiego ciemnego woru. Oprzytomniawszy, domyśliłem się, iż znajduję się w brzuchu wieloryba. Oddychać mogłem, lecz tylko z wielką trudnością, a najbardziej dokuczało mi straszliwe gorąco. Rozpacz mnie ogarniała na myśl, że ostatecznie mogę się udusić, nareszcie zmysły mnie opuściły i zemdlałem."

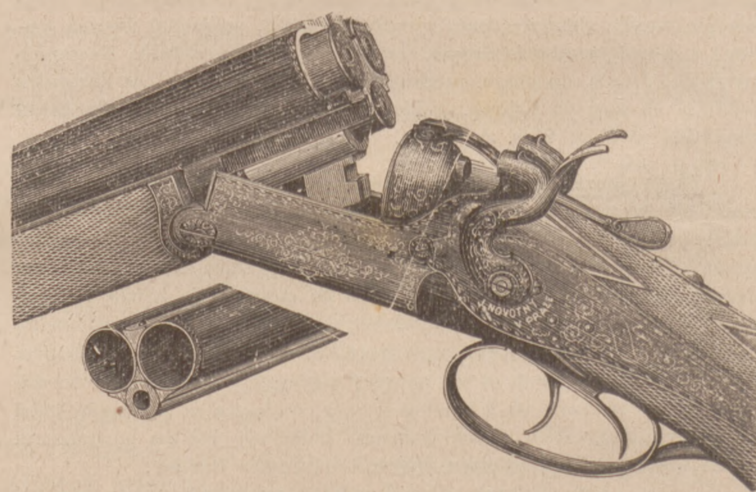
Fakt wydobycia Jamesa Bartleya z brzucha został, jak twierdzi *Cosmos*, stwierdzony protokołem, podpisanym przez kapitana statku i całą załogę. Po przywiezieniu Bartleya do Londynu umieszczono go w szpitalu dla ostatecznego wyleczenia; okazało się jednak, iż mu nie wiele brakuje, tylko skórę na rękach i twarzy miał uszkodzną skutkiem działania wielorybiego kwasu żołądkowego.

Do tej relacyi — trącącej amerykańskim humbugiem — dodać jeszcze winniśmy nieco z rozmiarów i anatomii wieloryba. Długość wala grenlandzkiego dochodzi od 10 do 24 metrów długości, a objętość w środku około 9 metrów. Niemal $^1/_3$ część całego ciała zajmuje olbrzymia głowa, a w otwartej paszczy może się pomieścić spore czółno. Jest więc gdzie pomieścić człowieka, gdyby nie stosunkowo ciasny przewód pokarmowy, który jeszcze rozgrodzony jest wystającą w pośrodku tchawicą. Wątpliwem zatem pozostaje, czy mógł się do żołądka wielorybiego dostać człowiek wąskim przełykiem, przez który przechodzą tylko drobne kraby i niewielkie mięczaki morskie, będące zwykłem wieloryba pożywieniem.

Gniazdo stalowe. Muzeum historyi naturalnej w Solurze, w Szwajcaryi, otrzymało w darze nadzwyczaj ciekawe gniazdo. Uwite jest ono z drobnych sprężynek stalowych, odrzucanych przy sporządzaniu mechanizmów zegarkowych. W Solurze zajmuje się wielu mieszkańców zegarmistrzowstwem, więc resztki sprężynek na ulicach i podwórzach są rzeczą powszednią. Skorzystała z nich para pliszek i wyściliła niemi gniazdko, mające około 10 centymetrów średnicy.

Puch łabędzi. Zbieranie puchu łabędziego stanowi jedną z korzystniejszych gałęzi dochodu w niektórych okolicach Norwegii. Puch zbierany w północnej Norwegii uważany jest za najlepszy i pła ą za niego na miejscu około 16 rub. za kilogram; puch islandzki jest znacznie tańszy i kosztuje 7—8 rub. za kilogram. Rocznie zbierają tam puchu około 1.000 kilogramów. Zajęcie to wymaga wiele cierpliwości, ostrożności i niekiedy połączone bywa z niebezpieczeństwem życia. Łabędzie bardzo łatwo oswajają się z człowiekiem, lecz jednocześnie są bardzo podejrzliwe; najmniejszy hałas, jakaś drobna nieostrożność wyradzają w nich nieufność do okolicy, w której przebywają i skłaniają do porzucenia gniazd. Szczególniej lubią ciszę podczas wysiadywania piskląt. Godnem uwagi jest to, że wystrzały nie przestraszają tych ptaków, ponieważ wiedzą one, iż strzały skierowane są przeciwko ich nieubłaganym wrogom: srokom i wronom. Tam gdzie myśliwi polują na te ptaki, łabędzie czują się bezpieczniejsze. Zajmujący się zbieraniem puchu rozrzucają zimą na niewielkich wyspach i na nadbrzeżnych skałach resztki ryb, które znęcają do tych miejscowości czajki, gnieżdżące się tam z ochotą, gdzie znajdują pożywienie, zaś łabędzie hodują się zazwyczaj w tych okolicach, gdzie dużo czajek, bo obecność tych czujnych i śmiałych ptaków, zabezpiecza je od wielu zwierząt drapieżnych. Jaja łabędzia są dość smaczne, lecz rzadko bywają używane do jedzenia. Właściciele gniazd łabędzich uważają za korzystniejsze dla siebie, by łabędzie wysiadywały pisklęta i z tego powodu wyjmują z każdego gniazda nie więcej jak jedno lub dwa jaja. Łabędzie gnieżdżą się na niewysokich, lecz spadzistych i mało dostępnych brzegach. Brzegi takie opuszczające się ku morzu prostopadłą ścianą, zajęte są często przez tysiące gniazd, zawierających puch i jaja. Zbieranie ich jest robotą bardzo niebezpieczną, wymagającą zręczności i wielkiej ostrożności. Na wyprawę udaje się razem trzech do czterech ludzi. Jeden z nich, obwiązany sznurem, którego końce trzymają pomocnicy, spuszcza się ze skały. W razie jakiej przeszkody lub niebezpieczeństwa, pierwszy daje znać swoim towarzyszom za pomocą znaków umówionych. Niektórzy właściciele gniazd łabędzich z łatwością zbierają w ciągu wiosny 15 do 20 kilogramów puchu.

Słoń facecyonista. Pomimo swych ciężkich form, słoń uchodził zawsze za zwierzę ruchliwe i krotochwilne. Potwierdzeniem tego jest mała wycieczka awanturnicza, na którą w Herinne, w Belgii, puścił się słoń z cyrku Ginetti, który tam daje przedstawienia. W nocy z dnia 2 na 3 marca poczciwy słoń, zerwawszy pęta, wyszedł ze stajni i udał się na przechadzkę. Znalazłszy się naprzeciwko domu wdowy pani Bridoux, wyłamał kratę, wszedł na dziedziniec, wyrwał pompę i rzucił ją na stronę, następnie lekkiem pchnięciem otworzył drzwi sali jadalnej, gdzie połamał krzesła, obrazy, serwis i bufet. Stamtąd przyszedł do kuchni, gdzie postąpił sobie według tej samej metody. Z kolei odwiedził salon i tam również potłukł zwierciadła i połamał meble. Prawdopodobnie wybierał się już na pierwsze piętro, gdzie najspokojniej spała właścicielka mieszkania, lecz przeszkodziło mu w tem przybycie stróża. Słoń z dobrą miną opuścił dom i bez cienia niezadowolenia udał się do swej stajni.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.